

WŁADYSŁAW ORKAN



DROGĄ CZWARTAKÓW



NAKŁADEM
CENTRALNEGO
BIURA
WYDAWNICTW
N.K.N.

DROGA CZWARTAKÓW

Kolekcja
Emila Kornasia



WŁADYSŁAW ORKAN
DROGĄ CZWARTAKÓW
OD OSTROWCA
NA LITWĘ
1915



W KRAKOWIE 1916
NAKŁADEM CENTRALN.
BIURA WYDAWNICTW
N. K. N.

CM KEK 326666

OKŁADKA I ZDOBNIKI RYSUNKU LEONA CZECHOWSKIEGO.
ODBITO CZCIONKAMI DRLKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr 59 / 201 / 4 CM





*PULKOWNIKOWI
BOLESŁAWOWI ROJL
BOHATERSKIEMU DOWÓDZCY CZWARTAKÓW
DZIENNIK NINIEJSZY
- OD OSTROWCA NA LITWĘ -
W HOŁDZIE ŻOŁNIERSKIM
OFIARUJE*

*WŁADYSŁAW ORKAN
CHORAŻY.*



Kapitan Galica (dziś podpułkownik) z oficerami swego batalionu
w Woli Ossowińskiej.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Długo pamiętnym dla Piotrkowian zostanie dzień 15. lipca 1915 roku, gdy uformowany właśnie pułk czwarty Legionów wyruszał w pole. A zwłaszcza moment ten, dla wielu przez łyzy wzruszenia na zawsze wpamiętniony, gdy po mszy polowej, na błoniu, wobec jasnego nieba, wobec zebranej licznie publiczności i władz wojskowych, defilowały oddziały pułkowe przy dźwiękach »marsza czwartaków«... Jechał poprzód pułkownik, o głośnem już, zdobytem w bojach karpackich imieniu — jechali za nim inni oficerowie pułku, wiodąc bataliony swoje, kompanie — szły równo, równo, sprężone, mocne szeregi: — a gdy mijali oczy żegnające, salutując, dreszczem przysiężnej powagi uderzały światła ocz żołnierskich i światła wznie-
sionych szabel o serca ostających. A dało się z tych przysięgłych, dumnie podniesionych głów odczuć jeszcze jedno, co cień tragizmu pewnego, niby refleks przeszłości, na mijające szeregi rzucając, giest osobliwy tej formacyi legionowej tłumaczyło: — to w świadomości odchodzących krewieństwo niejaki z onym »tysiącem walecznych« — myśl o sobie, świadoma zadań bojowych: »Czwartacy«.

— — — — —

Rozkazem Komendy Legionów w ostatniej chwili do pułku czwartego przydzielony, zdążyłem jeszcze w nocy do pociągu, którym odjeżdżał batalion trzeci. Pierwszy i drugi już były odjechały.

Kolej dochodziła do Ostrowca, gdzie też naznaczona była pierwsza kwatera pułku.

Po ulewie nocnej dzień nastał 17. lipca, pogodny, świeży. Wczesnem ranem wyruszył pułk z Ostrowca, szosą, w kierunku na Ożarów.

Pochód odbywał się dla ćwiczenia marszem ubezpieczonym. To znaczy: naprzód patrol przednia, t. zw. szpica; za nią w odstępach pewnych, pojedynką, widzące się jako słupy telegraficzne — łączniki; po obu stronach drogi w oddaleniu znacznym — patrole boczne; za ostatnim łącznikiem — kompania wysunięta, ubezpieczająca; zaczem bataliony w odstępach krótkich od siebie, z oddziałami karabinów maszynowych, w bojowym porządku, na końcu treny.

Postępował tak pułk rozwinięty szosą, drzewami cienioną, wił się na zakrętach, przeginał się w zgrubach, niby ruchliwe zwoje spojonych dość luźno ogniów, to spiętrzał się w nurt ciemny, łyskliwy, gdy szosa wycinała prosto.

Oczy spotykały po obu stronach szosy łany zbóż przejrzałych, gdzieniegdzie wzdłuż jakby strumieniami powodzi stłoczone. Przepłynęło tu widać przed nami sporo wojsk, którym nie starczyło ławy drogi.

Ścieliły się też łąki o wtórnej, przygasłej trawie, i wyświecały się tu ówdzie łąchy ściernisk.

Uderzały wzrok napół zebrane pola, częścią w kospach, częścią na pokosach — jak gdyby ktoś prze-możny robotników od polnych żniw odwołał. I oto ziemia świętuje. Żywej duszy — jak zagony długie — nie widać. Gdzie ten naród=właściciel, który nad wszystko cenią ziemię rodną w takim opuszczeniu ostawia? — Odpowiedź na to miała nam wyjść na-przeciw po wielu wiorstach drogi.

Słońce, wytoczone nad spory okraj nieba, zale-wało, padając z ukosa, ściernie, łąki, zboża, z rosy deszczu nocnego jeszcze nieobeschłe, kładło się w po-przek maszerującym kolumnom.

Pułk święcił w tym pochodzie pierwszy dzień swego wystąpienia w pole. Ta świadomość, popierana świe-żością wonną pogodnego rana, napawała żołnierza zrozumiałą dumą i podnosiła krzepką ciężką od-działów. Szły raźnie szeregi młode, pełne poczucia swojej wartości bojowej i spodziewanych w krótkim czasie niezwykłych czynów.

Komendant pułku, ów głośny ze swoich przewag karpackich Bolesław J. Roja, jadący poprzód ze sztabem swym, zatrzymał się u wylotu drogi bocznej i lustrował zostrzonym wzrokiem nadpływające od-działy.

Pierwszy szedł batalion kapitana Andrzeja Galicy. Mimo, że był to materiał świeży, przeważnie z Kró-lestwa w ostatnich miesiącach zwerbowany, szeregi

niosły się sprężysto, postawnie — znać było w ich postawieniu wojskowem szkołę dobrą.

Jadący na czele kapitan Galica, były komendant Batalionu uzupełniającego, mimo, że po raz pierwszy udawał się na front, wyglądał, jakby żołnierzem się już był urodził: tak w nim się zjednocilił giest junacki z postawą. Pobok jechał jego adjutant, równie postawnej formy, chorąży Relidzyński. — Pierwszą kompanię prowadził doświadczony i dzielny oficer, por. Bończa-Uzdowski. — Oddziałem pierwszym karabinów maszynowych, wchodzącym w skład batalionu, kierował młodziutki chorąży Ajdukiewicz, któremu aż oczy śmiały się na myśl, że wkrótce swoich grzechocących maszynek spróbuje.

Batalion drugi wiódł kapitan Sikorski, człowiek młody, a już w kampanii karpackiej dobrze zasłużony. Batalion jego składał się też przeważnie z Karpatczyków. — Oddział drugi karabinów maszynowych wiódł chorąży Wasung.

Trzeci batalion prowadził podeszły w leciech a krzepki jeszcze porucznik Szerauc, który również kampanię zimową w Karpatach przebywszy, od szeregowca do rangi tej trudem zasług doszedł. Zdobił zaś batalion, jak mak zboże, adjutant jego, chorąży Brzozowski, zawsze elegancją kwiecisty.

Tren prowadził chorąży Gwiżdż.

Pułkownik, zrobiwszy przegląd, poprawiwszy to i owo w pochodzie, ruszył koniem i wkrótce znalazł się znów z gromadką oficerów swych na przedzie pułku.

Pułk maszeruje dalej, brnąc piersią, ochoty pełną w powietrzu czystym, bezpylnym, w kierunku wschodnim.

Wdzięcznie przyjmują oczy — w miarę mijanych wiorst — kraj nowy, nowe, odkrywające się obszary radomskiej ziemi o znacznych falistościach. Po długo opatrzonej monotonii równiny piotrkowskiej, wzrok z lubością zatrzymuje się na wzgórzach, nierzadko wieńcami lasu ocienianych.

A myśli wybiegają naprzód, ku niewiadomemu końcu drogi. Tają jak ptaki w niedojrzy powietrznej — i nikną. Rzeczywistość bogata drobnych spraw pochodzących z pułku i rzeczywistość dookolna zapanowują w umyśle nad wszystkim. To jest, co jest. Idee gdzieś tam sobie fruwać nad głową... Kłęski? nadzieje? — Jest tylko pewność drogi — wzrok wybystrzony — uwaga. I serce jakieś przyjazne wszystkiemu. — Gdzieś, mówią, wojna — i my ponoć na wojnę jedziemy. Nawet gdzieś blisko. Dziwne.

Słońce zaczyna przygrzewać. Kompanie, przynurzone marszem i wstajacem już gorącym przedpołudniem, aby sobie dodać ochoty, poczynają w przyosłabłym rytm szeregów śpiewać. Zrazu nieśmiało, próbnie, aż wreszcie z kompanii przodującej wybija się chępliwość piosenki czwartackiej :

»Przyszliśmy napoić nasze konie —
Przyszliśmy napoić nasze konie —
Za nami piechoty pełne błonie —
Za nami piechoty pełne błonie...«

Huknęło mocniej — kompania następna poparła :

»O Jezu! a cóż to za wojacy?

O Jezu! a cóż to za wojacy? —

— Otwieraj, nie bój się, to Czwartacy —

Otwieraj, nie bój się, to Czwartacy.«

I już cały batalion śpiewa :

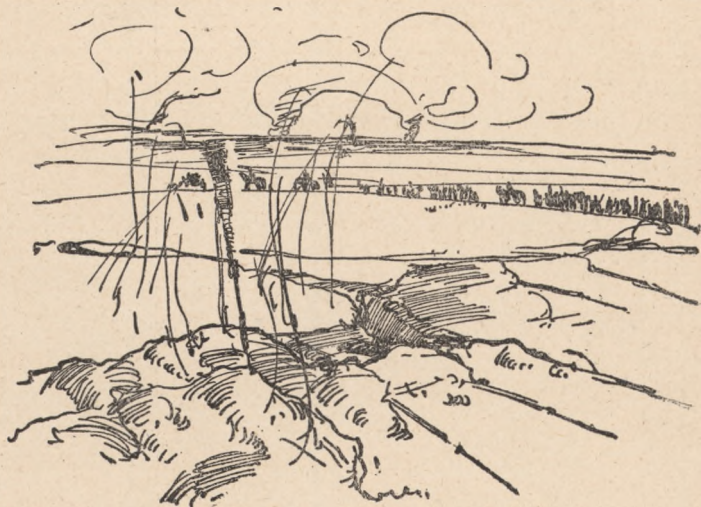
»O Jezu! dokądże Bóg prowadzi?

O Jezu! dokądże Bóg prowadzi?

— Warszawę odwiedzić byśmy radzi,

Warszawę odwiedzić byśmy radzi.«

Gdy mocniej nad inne wygrzmiały ostatnie słowa, czuło się, że prawdę tęsknoty legionowej wyrażają. To pragnienie tkwiło w piersiach wszystkich — od komendanta, do ostatniego w szeregach.



R O Z D Z I A Ł D R U G I.

Okolice, gdyśmy dalej załaniali się w ziemię radomską, zachodziły przed nas pagórami, coraz bardziej pofałdowane. Dawały się też zauważyć z drogi żółte rozrzuty rowów, a pod wyniesieniami gdzieniegdzie rwane linie okopów: świadectwo niedawno minionych tu walk.

Zachodzi przed myśl droga pierwszej brygady — gdzieś tu niżej ku południowi krwawiące się: Opaków, Konary, — ciężkie tamże przeprawy. Tędy droga ta musiała przechodzić, prowadząc w kierunku północno-wschodnim.

Czoło pułku doszło schyłości szosy, która się zwolna wynosiła na rozległy płaskowyż. Dążąc pod górę, mogliśmy z »blizka oglądać rowy strzeleckie, po obu stronach co pewien czas w różnych odstępach spotykane. Widać było nerwowość w ich rozmieszczeniu i robocie. — Stąd atak szedł, ku górze. — Na wzniesieniu pod lasem i na otwartej przestrzeni wyznaczały się puste łuki okopów rosyjskich. Również za przechyleniem w kilku odstępach — rowy rosyjskie, rezerw.

Łan zboża stłoczonego, a dalej wieniec ciemny lasu.

Zjeżdżamy po schyleniu wolnem, a później w dół, ku jakiejś wsi, czy miasteczku, jak wskazują wyłaniające się w zagłębiu rozwidlonem na prawo załamy ciemne domów i na wzgórzu przeciwległem, w okoliceniu drzew, mury białe kościółka. Czyżby to wymieniony w rozkazie rannym Ożarów?

Teren zachylny przestania. A pragnienie nużące — bowiem z południa już było — nasuwa naprzód całe winnice pokrzepień, jakie nas tam czekają. Pierwsza od wyruszenia spotkana osada ludna. Gościnność wyjdzie z wdzięcznym uśmiechem naprzeciw...

Mury się pokazują... zapewne miasteczko. Pragnienie się niecierpliwi. Naraz —

oczy się wzdrygły. Co to jest?

Prawda to — czy majak ohydny?

Kominy czarne, nic więcej. Jeszcze jakieś szczątki murów. To wszystko.

Zbliżamy się — wjeżdżamy wolno, z zalekiem w ulicę. Groza przywitała nas u wstępu...

Takiej ohydy zniszczenia oczy nasze jeszcze nie widziały. Przerazający obraz gwałtu i barbarzyństwa.

Stoją one kominy zczerniałe, — pięści pomsty bezsilnej w pustkę ku niebu wzniesione.

Czerepy ścian, patrzące oczodołami otworów okiennych.

Zwały gruzów, cegieł skruszonych, przepalonych, zczerniałych kamieni, jako też kupy stężale popiołu — zalegają miejsca podłóg.

Doły piwnic otwarte.



Ruiny Ożarowa.

Gdzieniegdzie szczyty samotne ostałe, dziwną siłą jeszcze nie upadłe. Widać z nich, jako i z ułamków ścian, że mury wyprowadzone były jednomodnie, z gładzonego, białego, piaskowca.

Ni jednego domu ocalałego. Spalone wszystko doszczętnie. Nawet ocembrowania studzien ogień pożarł — snąc i wodę z nich wypił.

Wieńce czerwone uschniętych drzew otaczają ozdobą śmierci te ruiny i zgliszcza.

Jedziemy wolno środkiem tej martwoty.

Znikąd żywej duszy, żywego wejrzenia. Wszystko umarło.

Tu ówdzie na placu do cna wypalonym, który sadem był może lub dziedzińcem dla zabawy działy, zwęglone pnie drzew kikutami zczerniałymi straszą.

Z uliczek, zawalonych gruzami, oczy rozszerzone pustki wychodzą.

Na pustych progach, w kątach sieni odkrytych — przerażne opuszczenie.

Nareszcie...

W otwartem wnętrzu jakaś postać. Niewiasta młoda — o pięknej, lecz bladej i zamarłej twarzy — szalem spłowiałym owinięta, z dzieckiem na ręku.

Mijamy, niezauważeni.

W uliczce coś się rusza. Człęk, czy psina? Szare coś między zwaliskami.

Na placu szerszym, na kupie gruzów — grupa niewielka żydów. Dziw — żaden głowy nie odwrócił,

gdy przejeżdżamy mimo. Żadne oczy ku nam nie spojrzały. — Wzrok zastygły, w jeden punkt gdzieś wczepiony. Dłonie jak szpony koło kolan splecione. Tak siedzą.

Człęk jakiś szary zaszedł z boku.

— Jak się ta miejscowość nazywa?

— Ożarów, panie.

— Kto tak zniszczył?

Moskale spalili.

— — — — —

Daremny otrząs myśli, by zrzucić z siebie ten obraz tłoczący. Długo jak zmora ciężać będzie oczom, grozą padać na serce.

Wyjechawszy nad Ożarów na wyniesienie rozciągle, mieliśmy sposobność obejrzenia zbliżka pozostałych rosyjskich pozycji. Doskonale wybrane i urządzone. Wzdłuż całej krawędzi wzniesienia, na schyleniu — jak łukami szła — ciągnące się okopy zakryte, z kątami wysuniętymi, z bocznikami, z rozległymi przedpolami płotów odrutowanych. Niepodobieństwem wydaje się, by pozycje te były wręcz zdobyte, chyba obejściem, tak się też podobno stało.

Minąwszy połogi grzbiet wyniesienia, zbaczamy na prawo, na drogę polną z gościńca i zjeżdżamy wąwozem głębokim do Janikowa. Nad wąwozem, niby czarny olbrzymi zewłok upadłego ptaka, resztki wiadra spalonego.

I Janików spalony. Dwurząd kominów zczerniałych — jak wieś była rozłożona, po obu stronach drogi. Zaledwie kilka domostw czy stodół u końca wsi zostało. Ocalały jeszcze: powyżej na uboczu położona szkoła, kościół i plebania, gdzie też stanęła kwaterą Komenda pułku.

Z dziedzińca plebanii widne było zgłiszczce wsi całe jak na dłoni. Nawodzić mogło podobieństwem cmentarz żydowski. Jak nagrobki jednorówne dźwięły się opuszczone kominy, podmurówki, idąc rzędem, to wychylając się z poza rzadkiej przesłony drzew o barwie późnej jesieni.

Ksiądz tłómaczył:

— Już dzień poprzód przygotowali sobie snopy z pola, które pokryli poza chaty. Pułkownik zdradził sam, że ma rozkaz palić przy odwrocie. Plebanię na prośbę minęli, bo tu komendant stał kwaterą. A może też już i nie mieli czasu. Prędko to poszło.

Ktoś wyraził podziw dla widzianych pozycyi.

— To też im do płaczu niemal przychodziło, że takie stanowiska piękne muszą opuścić.

— Czy tu bitwa była?

— A jakże, pozycye ich szły pod same ściany kościoła. Przez dwa tygodnie dzień i noc armaty grzmiały. Istne piekło. Pociski padały aż tu na dziedziniec. Szczęściem Bóg strzegł, plebanijka wyszła cało — kościół też, tylko w dwóch miejscach, na dzwonnicy i nad oknami, małe uszkodzenia od szrapneli. A jeżliście panowie ciekawi — dodał — to po-

każę wam mieszkanie, w którym przez czas tej walki przebyłem.

— Prosimy.

— Tylko trzebaby światła...

— Mamy latarki.

Zaciekawieni, ruszyliśmy za nim, a on nas wiódł w kącie dziedzińca, pod kościół. Stanął przed otworem.

— Proszę za mną...

Wchodziło się po schodach ziemistych, jak do piwnicy. Dalej była sień. Szliśmy jeden za drugim, poświecając latarką. Gdzieś ściany się zwały.

— Ostrożnie — radził ksiądz — by nie powalać ubrań.

Ówdzie ściany się rozszerzały w komorę, ówdzie niszka jakaś, wnęk czy ława — wszystko ciosane w glinie lepkiej i żółtej. Całe wnętrze widać było samą gliną, w której łatwo dało się to wyciosać.

— Oto moje mieszkanie — mówił ksiądz z pewną dumą. — Przez dwa tygodnie tu przebyłem.

— I jakże się ksiądz w niem urządził?

— Jakoś znośnie, niewybrednie, ale znośnie. Ot tam łóżko stanęło — tam rzeczy trochę. Co się dało przynieść, to się zniosło. Kuferek z cenniejszymi rzeczami...

— A z życiem jak?

— Różnie. Czasem dało się wyrzeć na świat.

Zresztą donoszono. Bo i służba się tu chowała w dniach krytyczniejszych. Spało tu i po siedm osób. Krowinę też wewiedli — tam stała u wejścia. A i beczuleczka wina, co ocalała od gości — to się ją tam w tej niszy schowało.

— Kunsztowne katakomby! — podziwialiśmy.

— A jeszcze jedno najważniejsze panom pokażę. Proszę poświecić dalej.

Korytarz zwęzał się i zniżał. Trzeba było schyłym i ostrożnie postępować. Widać było przy końcu światło dnia. Dostający się w to światło widział się jakby na dnie studni, okrągło w niebo wychodzącej.

— A to co? — pytamy.

Drugie wyjście! — rzecze ksiądz z dumą. — Tu stała drabinka, do wierzchu sięgająca. I gdyby n. p. pierwsze wyjście granat zasypał, to tam możnaby się wydostać. Ot, co!

Z rzetelnem uznaniem wyrażaliśmy swoje zachwyty nad pomysłowością księdza proboszcza.

— Nowoczesne katakomby. — Ot, co. — Że też to cały naród tak się nie urządził.

Jeszcze jedno zawdzięczamy odkrycie pomysłowości księdza proboszcza z Janikowa, lecz to już z dziedziny polityki.

— Panowie ta bliżej tych wszystkich spraw, i ja ta nie wchodzę, skąd co na co. Ale jakby to powiedzieć.... Bo my tu różnie i z ziemianami okoli-

cznymi mówili, nim jeszcze ta burza nas doszła...



R O Z D Z I A Ł T R Z E C I.

Na godzinę 6 rano (dnia następnego)znaczono zbiórkę batalionów na szosie pod Szymanówką.

Dzień wstał, po osuszy słonecznej dnia poprzedniego, jeszcze jaśniejszy.

Na oznaczoną godzinę spłynęły z trzech stron bataliony, formując się na szosie w podobnym porządku, jak przy wczorajszym wymarszu z Ostrowca. Na końcu treny.

Przeszła obok kompania techniczna Komendy Legionów, kwaterującej w sąsiednim dworze Podlesie... Poszła naprzód dla stwierdzenia, a w razie potrzeby dla ułatwienia przeprawy przez Wisłę.

Orkiestra uderzyła w rytm »Marsza Czwartaków« Pułk ruszył.

Kolumny wyciągnęły się, budząc w oczach partrzących otuchę. Batalion pierwszy, drugi, trzeci. Łączne z nimi oddziały karabinów maszynowych, ze swymi jukami na grzbietach małych a mocnych koników, przypominają jakąś kawalkadę z południa.

Dalej szare płachty trenów, przerywane ciemnem bateriami kuchni kompanijnych.

Przemknęło pobok szosą kilka samochodów Komendy Legionów. Za chwilę powozy nas wymi-

nęły — i na swojej kwadrydze, jako wódz rozparty,
gruby kucharz sztabowy.

Dążymy w kierunku wschodnim. Ziemia się ran-
kiem słonecznym uśmiecha.

Idą za nami zmory widzianych zgłiszcz, popielisk
wojny — Ożarów, Janików — ale gdy wkracamy
znów w bezosiedlne obszary, w pustać słońcem ob-
sianą, radosną, widzi się, że to majak był, jak sen
przykry a nierzeczywisty — znowu душom radośnie
się czyni, gdyż maszerują wprost naprzeciw słońca.

»Wyszło słońce o rannej godzinie
I stanęło w poprzek mojej drodze —
Już mię pewno szczęście nie ominie,
Poimane przyprowadzę wodze» — —

śpiewa się niejednemu ballada o sobie samym.
Najśluszniej jednak bez urazy prawdy, możnaby ją
przypisać pułkownikowi onemu, który jako witez
dawny w osępieniu na czele pułku swego jedzie:
wprost w słońce — bo stamtąd wstało, z nad prze-
czuwanej już śpiewem serc Wisły.

Wykręcił się w siodle i w tył za siebie po ru-
chliwych falach głów — jak szeregi się kołyszą —
patrzy...

Oczy, zniechęcone powolnością węża długiego
kolumn, znów ku słońcu przed siebie obraca. Dotknie
konia ostrogą — i naprzód ruszy. Wnet zakryje go
mgła gościńca. Utonął w słońcu — tam, za tem wzgó-
rzem świetlistem.



Zgliszcza Ożarowa.

Komendę pułku w zastępstwie objął kap. Galica. I on balladę o sobie w sercu swoim nuci, Chrobat=Podhałanin jasny.

Pułk maszeruje. Wzgórza się podnoszą, wstają z obu stron coraz wyżniejsze pagóry, odkrywają się zbocza nagle a miękko spadziste, to się dźwigają niegroźne ostrysy, o kopicach drzew, przerozmaicie zielonych. Pośród nich łąki, proszące o uśmiech, nie=spodziane i miłe zacisza.

— Piękna ziemia. Warto za nią się trudzić.

Myśl ku Podhalu wybiega i wiąże tamto piękno surowe, wysokie, z tem tu bratniem poniżem, tylu pokusami oczu umajonem.

Dąży, dąży pułk w kierunku wschodu, z którego już słońce odchyliło się znacznie ku południowi, idąc wyżej.

Dyszy pułk ku wzniesieniu dwutysięczną piersią szeregów, które się spieszą, spieszą, jak na uroczystość blizką.

Nareszcie — czoło wzniesienia, przechylenie — — marzona dolina Wisły się odsłania...

Serca pieśnią radości uderzą. A na pamięć przy=chodzi miejsce one z powieści o »Udałym Walgie=rzu«, gdy trzej mężowie (onże Walgierz, Mściw i Wydrzyoko), jadąc doma, nad doliną wiślańską stanęli. Bo tak to istnie musiało być...

»Stanęli mężowie w strzemionach, nakryli dłońmi oczy od blasku rannego słońca, co się w wodach dalekich nurzało. Patrzą w dół... Góry przed nimi, góry wielkie, okrągłe i pochyłe. Cudne błamy lasów...

Tam i sam osłonięta jest ziemia jeno pawłoką brzo-
zowych bugajów, co zstępują ku dolinie uroczej«....

Śpiew serc: — Dolino moja... da=dana!

»Wiślańskie łęgi! Widać z wyżyny kwieciste,
nieogarnione oczyma. Wierzby tam po nadwodziu ro-
sochate, wikle się srebrzą w porannej mgle. Daleko
szumią kępy sokorów, daleko w błękitach toną białe
brzozy. W brzegach rozkosznych płynie połyskliwa
Wisła=woda«...

Zstępujemy z weselem w rozłoż wiślańskiej doliny.

Pieśni radosne przed nami zlatują i zdają się po-
zdrowiać mijane w biegu lasy, łąki, pola, aż przy-
padną w zachwycie do lśniących stóp Rzeki. Widać
u końca łąki roztoczonej Jej słoneczną pojavę, i łuk
świecący brzegu naprzeciwno. Poniżej pale spalonego
mostu.

Kolumny zeszyły na równię nadrzeczną.

Krótki odpoczynek na łące — zformowanie na
nowo pułku — i przeprawa.

Batalion pierwszy wkracza na ławy piachu i na
położony na wodzie pontonowy most. Za nim drugi
batalion, trzeci...

Oficerowie konie za uzdy prowadzą.

»Przejdziem Wartę, przejdziem Wisłę«...

.

Ważność tej chwili każde serce żołnierskie odczuwa.

»A gdy Turek napoi białego konia w Horyniu«...

Dudnią kroki szeregów i kopyta koni po spojonym

dość luźno pomoście. Drżą, uginają się pod ciężarem kolumn łodzie=pontony. Przewalają się pieściwie — od Śląska, od Tatr płynące — nurty Wisły.

Poniżej pionierzy odbudowują most spalony. Brzeg drugi znagła górzysty.

Wąż kolumn wpelznął na brzeg i, przewijając się zakrętami drogi, — olbrzymi, szary — piął się w górę, połyskał coraz wyżej, wyżej — aż zgasł za przechyleniem.

Przyostałe treny mają teraz święto przeprawy. Zwolna, zwolna wozów setka się posuwa po pomoście. Grzbiety pontonów zrazu niepewne, przyszły wnet do równowagi. Zważyły, iż nieciężkie jest mienie Legionów.

Na górzystym brzegu rozłożył się Annopol, miścina, całe miejscu temu wysokiemu nieodpowiednia. Minął ją też pułk ochotnie i wparł na drogę w kierunku Księżomiesza, gdzie kwatery noclegu były naznaczone.

Echa dalekich dudnień armat, które z północnej strony z przestankami niedużymi od wczora słyhać było, teraz ustały zupełnie. Natomiast ukazały się na skłonie nieba ku północy ledwoznaczne dymy. Co oznaczać mogło tylko jedno: iż Moskałe palą wsi w odwrocie.

R O Z D Z I A Ł C Z W A R T Y.

Wkroczył pułk w ziemię lubelską, ziemię rodzajną, wysoką, od wyniesionych brzegów Wisły rozciągniętymi płaskowyżami — płatami lasów, przestrzenią pól — jak morze wzdęte o leniwych falach, pod zarząd słońca układzoną.

Krótki postój na czas obiadowy w lesie, a potem żmudny marsz piaszczystą drogą w kierunku wciąż wschodnim o wychyleniu na północ.

Często zachodziły po drodze przed oczy groby samotne lub po kilka razem o krzyżach prostych, drewnianych. Są to już odtąd powszednie zjawiska, te krzyże jedno albo dwuramienne, w świeże wetknięte kopce.

Jasny dzień zachmurzył się. — Z deszczem już zdążyliśmy pod wieczór do Księżomiesza. Batalionomznaczono miejsca w różnych odnogach rozległej wsi. Komenda pułku stanęła na plebanii postronnej.

Wieś przedstawiła się jako zamożna dziedzina, ludzie przyjaźnie nam życzliwi, kilku parobczaków — z niewielu, jacy we wsi pozostali — odrazu do nas »przystało«.

Księżomiesz uszedł zniszczenia z tej tylko przyczyny, iż Moskale za szybko musieli się cofać. Ba=

wiacy na plebanii proboszcz z sąsiednich Dzierzkowic mówił, że uszedł ledwo, a wieś jego w zgłiszczach. To samo wsie okoliczne.

— Ludzi zajmują, strasząc ich Niemcami, a potem palą. Tak wszędy, gdzie jeno czas mają. — Gdy naród strachów ich nie słucha, to gwałtem zagarniają.

— W jakim celu to czynią?

— Trudno cel jaki dojrzeć. Dzicz i koniec.

Dochodził nas grzmot armat od strony północnego wschodu. Długo w noc trwało owe pogłośne dudnienie.

Rano dnia następnego (19) zaczęło się ulewą. Armat nie słychać. Rozkazem wczesnym na godzinę 6 min. 40 naznaczony jest przegląd pułku przed Komendą korpusną. Przegląd wypadł mimo ulewnego deszczu zadawalniająco. Poczem rozkaz wymarszu (na g. 11), w którym powiedziano, że »Moskale cofają się na całej linii« i że idziemy do Urzędowa, gdzie spotkamy się z Brygadą pierwszą.

Deszcz ustał, lecz pochmurnie. Wyruszywszy z Księżomiesza drogą błotnistą pod górę, dążymy dalej przez działę=rozłogi w kierunku oznaczonym, północno=wschodnim. Pułkownik z adjutantem swym i paru ordynansowymi pojechał naprzód. Zastępstwo objął kap. Galica.

Pochmurność nieba, osęp pół po deszczu i ciężkość drogi nie usposabia weselnie. — Dążą szeregi w milczeniu. Nic też szczególniejszego oczom blądzącym nie podpada. Dopiero w połowie drogi, gdy

przechodzimy koło ściany lasu, mamy sposobność podziwiać kunsztownie sporządzone wille z cienkich okrągłaków i gałęzi, w różnym lecz głównie we wietrznym — można nazwać — lub przewiewnym stylu; stajnie palowe o dachach chrustowych — cały willewowy zakład leśny, godny wystawy wojennej. Niby zabawa dzieci. Czyj to pomysł, niewiada. Artyzm pewien, zbytek w urządzeniu schronisk wskazywałoby na robotę Niemców.

Zarządzono odpoczynek na skraju lasu, a że kuchnie nadjechały — i obiad. Humory się poprawiły. Przy wymarszu zagrała orkiestra pułkowa. Ruszono ochoczo dalej.

Przy końcu w lesie, wzdłuż którego pułk maszerował, oglądaliśmy przemysłnie maskowane rowy strzeleckie. Moskali, kryte pomostami pochyłymi, zaruconymi ziemią, chrustem, trudne nawet z blizka do odróżnienia od podłoża lasu. Przed nimi w przerwach zdradzieckie zasieki z drzew... Niektóre sosny stoją nadpiłowane: — nie mieli czasu ich zwalić.

Po drodze znajdują się często porzucone naboje rosyjskie: wiele trafia się kul spiłowanych przemysłnie lub ponacinanych na końcu, aby działały w skutku jak kule »dum=dum«.

Nadjechał oficer ordynansowy z rozkazem, że pułk ma iść przez Urzędów, Ludwinów, do Ratozyna, marszem ubezpieczonym, od Urzędowa w wojennem pogotowiu.

Wysłano więc naprzód kompanię ubezpiecza-

jącą, wysunięto łączniki — bataliony, ścieśnione, ruszyły.

O śródmieczu dojeżdżamy do Urzędowa. Dowiadujemy się, że sztab Brygady I. stoi w Ludwinowie, że tu przedwczoraj była bitwa, w której brała udział znaczna Brygada I. Na wstępie tuż po lewej stronie, błotnistej ulicy wzdłuż płotu widać okopy na prędko zrobione, to zasłony z darni, tak samo i w rogu cmentarza, który ku drodze wychodzi. Zacięte były tu walki.

Urzędów — obszerna wieś, wzdłuż po obu stronach łąki rozłożona, jeszcze przykrzejszy, chociaż mniej upiorny, przedstawia widok, niż Ożarów.

Wieś zupełnie po barbarzyńsku przez cofających się Moskali spalona. Ludność z dziećmi i dobytkiem zagarnięta przez nich. Tu ówdzie snuje się po zgłiszczach jakiś człek szary, ostały przypadkiem, jakaś obłądna kobieta.

Z domów zostały tylko okopcone kominy i piece. Na jednym z takich pod niebem otwartych pieców — widzimy, gdy przejeżdżamy mimo — dwa garnki stoją na blasze, ogień pod blachami się pali, koło pieca, na kupie gruzów, przykucnięta, siedzi z podpartą głową na dłoni stara kobieta: warzy sobie wieczerzę. Jak w domu. Tylko brak ścian i powały.

Kościół również spalony. Mury tylko ostały.

We wsi stoi (nie pozazdrościć kwatery) wcześniej tu przed nami przybyła Komenda Legionów. Mieści się szpital polowy i kręci się trochę Legionistów z pierwszej Brygady.

Mijamy zgłiszcza domostw. Słyszymy, że był do podpałań odkomenderowany oddział cały pod dowództwem oficera.

Spotykamy pobok ulicy na podwyższeniu mały domek nietknięty. Dziwno nam, że ostał się cało.

— Dał dziesięć rubli — tłumaczy nam jakiś nawinięty sąsiad — i podpalacz wyminał. Lecz było, że pieniądze brali i palili.

Jednego z takich podpalaczy — słyszymy — baby tej wsi, gdzieś wśród opłotków dopadłszy, kijami i widłami zatłukły.

Za wsią na pagórku 5 krzyży świeżych, świeże, żółte kopce. Dwaj Legioniści tam leżą, trzej Moskale.

Minąwszy Urzędów, bataliony dostają zlecenie: naładować broń. Krótkie zatrzymanie dla wypełnienia rozkazu — poczem marsz dalej w pogotowiu.

Deszcz zaczyna rosić. Mimoto, mimo utrudzenia długim marszem i zgnębienia oczu przerażnymi obrazami zniszczenia, ochotność w szeregach nie gaśnie. Krzepi utrudzonych świadomość spotkania się niezadługo z Brygadą pierwszą.

Zwłaszcza wśród Karpatczyków, którzy rok cały tej chwili czekali, marzyli o niej na przełęczach bukowiańskich i w chatach huculskich, dzień ten ma wyjątkowo uroczystą barwę, choć tak zchmurzony i dżdżysty. Oto spotkają się z tymi braćmi broni, którzy na swoim dziedzictwie dawali odpór wrogowi, gdy oni po obcych horach=dolinach, w tęsknocie... Z tymi, którzy pierwsi wkroczyli na ziemię Króle=



Janików spalony.

stwa, których pierwsze śmiałe czyny dały pobudkę innym, a którzy od Wodza swego wzięli oblicze, iż są jak jeden mąż. Jak ich też powitają, jak przyjmą? Jakiem sercem wyjdą im naprzeciw?

To spodziewanie było w pułku całym — u oficerów, jak i szeregowców.

Późnym już wieczorem wśród deszczu dobijamy do Ludwinowa. Na wstępie koło lasku spotykamy artylerzystów Brygady. Znajomi witają się. Przychodzi zmiana rozkazu: Pułk zatrzyma się na noc w Ludwinowie, zajmując 10 chałup w południowej części wsi (resztę zajmuje Brygada).

Wieś ocalała z powodu szybkiej ucieczki Moskali, nocą wśród deszczu.

Pułk przechodzi batalionami na wyznaczone kwatery. Z trenem nieco zamieszania, gdyż noc ciemna, »że oko wykoł«, lecz to się jakoś uładza.

Idąc w głąb ciemnej ulicy, załanej błotem, spotykam przed chałupą, w której stoi sztab Brygady, lekarza pułku kap. Dra E. Bobrowskiego i kap. Galicę, który zdał raport Brygadyerowi, jako zastępca komendanta pułku. Czekają na odprawę.

Nie mogąc się doczekać odprawy i nie mając wieści od pułkownika, który pojechał do Ratoszyna, kap. Galica udaje się ku swojej kwaterze, ja z nim.

Brniemy ciemną ulicą wsi. Po sadach, wśród napół rozebranych opłotków: fury trenowe, okryte płach=

gromady. Warzą wieczerzę, gwarzą, spierają się o lepsze, t. j. suchsze miejsca.

Naraz z mroku nocy od wschodu rozlega się dziwne, skłócone pranie, niby bezładna młocka w stu blizkich stodołach. — Co to?

Skręcamy w bok i stajemy za opłotkiem sadu, gdzie przestrzeń pól się zaczyna, by lepiej objąć słuchem te dziwne odgłosy. Rozróżniamy teraz wyraźnie:

Zmieszane, gorączkowe strzały karabinów, jak bicie setek cepów w drewniane boisko. Coraz to prędzej, nerwowiej...

Zdaje się: tuż za ścianą mroku. Czyżby atak nocny?

Dziwnie osobliwe, niepokojące wrażenie. Jak wobec czegoś nieznanego a groźnego, co się w mroku zachaja. I trwoży i pociąga razem.

Na moment pranie wydycha — wtedy zaświecają się rakiety w ciemni. I znów kotłowanie strzałów bezładne, prędkie — rośnie w gorączkę zacieklą — do czego dołącza się przegroźnie obojętne trajkotanie karabinu maszynowego. Różaniec śmierci.

Powiada Galica:

— Widzisz chłopie, to tak wygląda... Ale młóć!

— Zdaje się, tuż zaraz za wsią.

— Tak się wydaje. Będzie 10 wiorst lub więcej. W każdym razie trzeba pluton ubezpieczający na noc postawić.

Wracamy w ulicę, objętą życiem obozu. Koło

ognisk kręcą się sylwety, koczują gromadki zbite w okółu światła. Już sen niektóre na ziemię mokrą powalił. Przy wozach swary o wymarzone miejsce pod dachem płóciennym. Konie parskają, chrupiąc jakiś porzucony barłóg.

Wchodzimy do chałupy: kwatery komendy I. batalionu. Zaduch, brud. Na ziemi, na garści słomy śpi kilku półrozebranych oficerów. Łóżka dwa, słomą i jakimiś łachmanami pokryte, wolne. Proponują kapitanowi jedno — mnie, jako gościowi, drugie. Wieczery nie ma. Przemęczeni, mimo odrazy do pościeli, rzucamy się jak jesteśmy w płaszcach na one łóżka, w momencie usypiając.

Rano wstawszy, dowiadujemy się, że dzień poprzód gościli tu Moskale — jeszcze na blachach pieca stoją garnki (jeden z kawą, drugi z herbatą), których nie zdążyli opróżnić.

Słychać od strony wschodu armatni bój. Z poza chałup ze wzgórza obserwujemy kierunek i działanie strzałów — widać stanowiska austriackich baterii, linię tyralierską i linie rezerw. Pozycyi rosyjskich nie widać — przesłania je grzbiet przeciwnego wzniesienia — można tylko miarkować ich położenie z dymów i ogni pękających nad niemi szrapneli.

Koło południa nadjechał pułkownik. Sztab zajął chałupę przy końcu wsi. Znalazła się i słoma czysta, najbardziej zaiste upragniona rzecz.

R O Z D Z I A Ł P I Ą T Y.

Wczesnem ranem, nazajutrz, 21. lipca wyruszył pułk z Ludwinowa. Również miała opuścić Ludwinów Brygada i posunąć się naprzód. Moskale cofnęli swoje pozycye.

Przy deszczu roszącym zdążały oddziały rozmiękłemi polnemi drogami w kierunku naprzód południowym, później zagnała wschodnim.

Przed południem stanął pułk w Kazimierzowie, wsi niedużej, na płaskowyżu ładnie położonej. Tu naznaczono kwatery. Komenda pułku zajęła izbę w domu schludnym, murowanym, jakoby sołtysim.

— — — — —

Gospodyni domu, która warzyła mleko na blasze, gdyśmy weszli, na propozycję, by nam je odstąpiła, odrzekła, kraszac uśmiechem odmowę:

— To dla babuśki. Ale mogę panom zwarzyć jeszcze.

Poniosła garnek przez sień do drugiej izby. Rozumieliśmy, że ta »babuśka« to najważniejsza tu osoba w domu, ważniejsza od wszystkich sztabów.

Rozgościliśmy się w izbie. Naniesiono słomy żytniej, roztoczono pod ścianami — miejsca było dość,

mimo, że piec duży zajął cały kąt. Izba obszerna o trzech oknach — ławy, stół, stolki — ściany i sufit bielone.

W jakiś czas później (mleko, drugi raz warzone, dostaliśmy), gdy każdy oddał się zajęciu swemu lub wypoczynkowi, drzwi z sieni ustąpiły, weszła kobieta stareńka, stuletnia może, chuda jak skrzydełko.

Weszła, stanęła, wsparta na koszturku i wzrokiem dziwnym potoczyła wokoło po izbie.

Co było w tym wzroku? Przychodził jakby z dala, z innego świata. Rozświecił się powoli świadomością zobaczonych rzeczy, i stanęło w nim zdumienie.

Słoma na ziemi, nieład — jacyś skądś nieznanie ludzie siedzą, leżą na ziemi na słomie — w tej izbie, której ona była przez lata jedyną władną gazdinią. Co to takiego?

Poruszyła bezdźwięcznie ustami. Jakies słowa, sobie samej rzeczzone. I wyszła. — Jak widmo.

To ta »babuśka«, dla której mleko gospodyni warzyła, gdyśmy weszli. Wytrąciła i ją wojna z normalnego trybu życia, rzuciła w niedogodę. Kąta swojego spokojnego niema — ktoś wchodzi w jej prawa — jakieś się rzeczy dzieją, których nie może zrozumieć.

— — — — —

Rozpogodziło się. Bój armat się wzmógł. Pułkownik z adjutantem pojechał ku pozycji. Z otwartej przed wsią płaskowyżnej przestrzeni obserwujemy ruchy

rezerw wśród zbóż na opodalnym zboczu wyniesienia, (linie pierwsze zachylenie skrywa) przemykanie różańcem miedzami kawaleryjskich oddziałów i groźną czynność armat. Tuż pod grzbietem wzniesienia pod laskiem przyczała się ruchliwa bateria pełna, sześć raz po raz dając w odstępach wystrzałów. Szukają jej szrapnele rosyjskie, co chwila wykwitają dymki rdzawe nad laskiem i pobok. Na dole, skryta za chałupą w osłonie drzew, pracuje ciężko bateria haubic. Błyski uprzednie wybuchów zdradzają tylko oczom źródło grzmotu.

Nie widząc skutków tych niszczących działań, mogło się odnieść wrażenie, że się jest w obliczu manewrów. Lecz i skutki dość rychło dały się nam widzieć.

Przejeżdżają wozy z rannymi — sznur długi. We wsi w dole mieści się stacya opatrunkowa. Stamtąd odwożą ich dalej, na tyły.

Na jednym z wozów¹ znajduje się ranny legionista z naszego pułku. Skąd? jak? co? Gromada otoczyła wóz. Dowiadujemy się, że siedmiu ich, nie mogąc się doczekać walki, gorącością porwanych, wymknęło się nocy ubiegłej na linię, i z tych oto ten ranny, kilku poległo.

Po południu przeprowadzają koło nas partyę jeńców z 750 ludzi. Warto przytoczyć okoliczności, w jakich tych jeńców dostano, a jakie nam odprowadzający ich landszturmiści z pułku 40 (rzeszowskiego) z tryumfem opowiadają.

Stali owi Rzeszowiacy, jako rezerwa, w lesie. Oficerowie poszli na obiad do wsi. Im się poczęło przykrzyć. Tedy przyszło im na myśl, że tam za górą pod lasem stoi tren rosyjski. Dobrać się do tego trenu, opłaciłoby się. Zanim oficerowie powrócą z obiadu, oni już mogą być z powrotem na stanowiskach. Nie długo radząc, bo przeciwników tej myśli nie było, pod dowództwem podoficera ruszyli. I byłaby się im sztuka udała. Gdy niespodzianie naszli rosyjskie rezerwy. Zgniewani, rzucili się na nie i prawie bez walki pojмали. Ale o trenie już gadki nie było — przestrzeżony strzałami, nie czekał. Wracali z jeńcami, już nie kołując, lecz na wprost brzegiem lasu. Na grzbiecie trafili akurat na skrzydło pozycyi rosyjskich, o las się opierające. Wywiązała się bitwa krótka. Moskale, z tyłu napadnięci, bronili się mimo to zaciekle. »Twarde to chłopcy przy bitce. Taki oficer od maszynowego karabinu... Ja go kolbą po łbie, a ten nic, ino strzela... taki zbój« — opowiada nam, zgorzszony takim oporem Rzeszowiak. Dobrali jeszcze jeńca i do wsi na dół przywiedli: razem 750 ludzi, oficerów kilku i karabin maszynowy. Tymczasem, zanim ich oficerowie obiad jedli. Nie wiedziała Komenda, czy ich sądzić, czy im ma dziękować. Dostali nagane za to, że bez rozkazu poszli, a pochwałę, że jeńców przyprowadzili. »Wyprawa jednak nie udała się: do trenu nie dotarli«.

Popołudnie wśród zajęć obozowych przeszło. Od-

działy rozmieściły się wygodnie, po chatach i stodo-
ach, w nadziei dłuższego postoju.

Komenda pułku zaprosiła dowódców batalionowych z adjutantami ich na kolację, podaną w sporządzonej prowizorycznie altanie. Jakiś oficer Polak z sąsiedu-
jących austriackich oddziałów przyniósł krakowskiej kiełbasy, likieru — więc ucza. Humory niemal we-
selne. Kazano grać orkiestrze pułkowej, która dźwię-
kami zapełniła wieś, ściągając gromady żołnierskie na
plac koncertowy. W przerwach wesołe pogwary,
śpiewy, beztroski nastrój. »Jak na majówce« — mówią
chłopcy.

Naraz — depesza. Alarm.

Pułk dostaje rozkaz udania się na pozycję.

Niezwłocznie zarządzony wymarsz.

— — — — —

Zmierzch zapadł.

Bataliony wyszły, wsiąkły w mrok.

Za nimi, coraz przyostając, podąża tren bojowy.
Ciężko toczą się wozy po błotnych zepsutych dro-
gach. Wśród pustaci pól niewidnych, to wśród ma-
jaków drzew, ogrodzeń, środkiem jakiejś wsi.

Noc ciemna. Jakiś zakręt, ledwie rozeznac tor
drogi.

Zdążają wozy pod górę. Wjazd jakiś szeroki, niby
do obejścia dworskiego.

A oto czarne ściany parku.

Droga przez park prowadzi. Przez park groźny,



Odpoczynek pod cerkwią.

surowy, milczeniem objęty. Poprzed plac jasny, oświetlony jarzącymi oknami pałacu. Sztab dywizyj podobno tu stoi.

Za parkiem, przestrzeń — noc, rdzawym odbłaskiem przeszły.

Na wprost — olbrzymi pożar. Jakieś miasteczko płonące. Borzechów?

Tam tren ma jechać — droga tam prowadzi. Czy nie pomyłka?

Na lewo i na prawo od tego skupiska płomieni wybłyskują nad ziemią bezgłośnie rakiety, zaświecają się w ciemności i gasną. Oczy pozycyi w noc ciemną, szukające wroga, baczące, czy nie knuje jakiegoś podejścia.

Cisza wielka, cisza niezwykła, jak przed czemś strasznym, co się zaczyna w ciemnościach, potęguje grozę nastroju.

Wybłyskujące co chwila rakiety wyznaczają pozycje nasze i wroga. Są one, jak widać, tuż blisko, o wiorstę.

Sunie tren milczącą karawaną wprost w to niewiadome. Podnoszą się niespokojne pytania. Tak, napewno omyłka. Łącznik stracony. Lecz — rozkaz.

Zjeżdżają wozy z góry, w świetle pożaru widoczne. Zajaśniał, wykwił ze środka ogniska olbrzymi stos płomienia białego, z niewiadomego źródła.

Podjeżdża tren pod bramy onego miasta pożaru. Rakiety zaświecają się tuż przed oczyma. Dalej trudno jechać.

Oto na lewo droga boczna, równoległa do pozycji. Zjeżdża tren na nią. Za jakieś chaty, drzewa. Staje.

Chwila jeszcze ciszy — i zaczynają w pobliżu trzaskać, grzechotać karabiny. Zaczynają kule przenoszące świstać w powietrzu.

Zajeżdżają przez zboże — słysząc — armaty polne. Ustawiają się w pobliżu.

Będzie tu wnet gorąco. Do świtu godzin dwie.

Tren musi zawrócić, nim brzask wstanie.

Rzecz niełatwa na wąskiej drodze — sto fur. Szczęśliwie jednak się udaje.

Gdy tren staje z powrotem przed parkiem, który przed godziną minął, nadjeżdża posłaniec z pułku ze wskazaniem, w jakim kierunku tren ma jechać.

— — — — —

Brzask.

Zamazane jeszcze mrokiem obszary sinością trupią występują oczom.

Jakieś pustkowia wzniesione. Wyznaczają się na nie wzdłuż pogrzebiecia linie ciemne, przypadłe ku ziemi. Myśl o batalionach, kompaniach naszych, płaszcem pół-snu — w czuwaniu — i chłodem poranku owiniętych.

Czy to linie rezerw naszych, czy krzewy-majaki?

Wszystko spowite w szarą tajemnicę, przypadłe oddechem do ziemi. A czuje się poza tem czuwanie, okrutny pozór snu. Serca nawet nie uderzają, przywalone skałą nakazu.

Na prawo: las i równy pola płach — w mgle rannej.

Szare mundury patrolu...

— Gdzie pułk?

— Tam, w lesie.

Piach drogi wilgotny — stajanie owsa — łąka w kąpieli rosy. A oto już las. Tu nasi. Karabin warty...

— Komenda pułku? —

— Tam, w kraju lasu.

Bataliony zaszyte w lesie, spią. Spi wszystko. Nie domyślić się śladu, gdyby nie sylweta warty.

Chłód dojmujący poranku.

Oto wreszcie kwatera Komendy. W koce owinięci, spią na rośnej ziemi: pułkownik, adjutant, lekarz pułkowy, kancelarya i inni.

Czuwa tylko telefonista przy aparacie. Szare druty przęda się po drzewach, idą w kierunkach kilku.

Podnosi się pułkownik. Idzie do telefonu, by mówić z Komendą Brygady, która znajduje się w sąsiedztwie z lasem. Aparat nie funkcjonuje. Kłopot.

Budzą, dźwigają się inni. Obóz ożywa.

Świt wstaje, roznosi się światło.

Naraz — zbiorowy tentent. Nadeżdża z poza lasu brygadyer Piłsudski ze świtą. Chwila rozmowy z pułkownikiem, poczem jeźdźcy popędzili na przełaj przez pole. Wizya: grupa sztabu ze sztychów powstańczych, żywo przeniesiona w rzeczywistość.

Rozkaz do batalionów: mają się cofnąć do lasu sąsiedniego, o pół wiorsty, i tam „zająć” stanowiska.

Słońce wychodzi.

Znagła wstrząsa powietrzem młot armatniego wy-

strzału — drugi — trzeci — czwarty... Zaczem świsty
prerażne.

Jakby się piekło rozwarło...

Z pobliza, z lasu, do którego pułk nasz ma się
przenieść, wypadają raz po raz pociski armatnie
i łukiem przelatują ponad nami w stronę południa,
ku pozycjom moskiewskim.

12 baterii — pracuje.

Nie sposób wyrazić słowem wrażenia tej kano-
nady, bo to już nie huk, nie grzmoty, zwyczajnie
strzałom armatnim przydawane, lecz spójnię mózgu
rozszarpujące wybuchy — i wraz

z czeluści wypadłe szatany z przeraźliwym chicho-
tem nad ziemią ścierpłą pędzące — —

stalowe żorawie (jak je nazwał Roja), z podźwie-
kiem, ścinającym krew, szybujące górą — —

sępy=rarogi ogniste w świcie lotu —

psy=Grozy, z łańcucha piekieł w otchłań po-
wietrzną z wyciem=skowyttem puszczone —

i jeszcze inne — —

Straszliwa, nie do zniesienia orkiestra. Zdaje się
okrąg powietrzny, niebo i ziemię napełniać, iż niema
przed nią schronu, nawet w śmierci.

Pod tą kopułą prześmigujących pocisków prze-
chodzi pułk oddziałami do wskazanego lasu.

Bataliony zajmują rowy gotowe przy kraju.

Pokryte w lesie baterie wybuchają raz po raz,
miotając straszne pociski. Rozróżnić można ich kali-
ber w wygłosie armat. Te szczekają jak brytany,

uwiązane u bram piekieł — te biją z hukiem — te metalicznie wydzwaniają pociski śmierci.

Cały las huczy tą orkiestrą.

Tak trwa przez godzin kilka, do przedpołudnia. Baterye, szukane rosyjskimi szrapnelami, które pękają ze rzadka nad lasem, przesuwiają się gdzieindziej.

Ucisza się las. Pułk rozpoczyna życie obozowe, choć w pogotowiu. Podobno jest tu wraz z Brygadą osłoną flanki na wypadek spodziewanego ataku od południa pułków grenadyerskich, i ma zostać tu dłużej.

Zajeżdżają kuchnie do swych kompanii. Śniadanie i obiad razem. Ściągają treny. Donoszą ordynansi wodę z pobliskiej wsi, Kłodnicy. Ludzie się myją, biorą kąpiele słoneczne. Używanie, rozkosz.

»Las pod Kłodnicą«, jak go w raportach oznaczono, mimo, że już przeszły krajem jego depczące stopy wojny, zachował swój leśny urok. Wspaniałe grupy sosen o rozłożonych gałęziach — zagaje młode, zadrzewia różnoliściaste — przerzedzia widne o wysięli mchu — polanki słońcu otwarte, wszystko to zapraszająco wyglądało. To też wdzięcznie przyjęto pogłoskę, że pułk ma pozostać tu dłużej. W takim razie trzeba się zakwaterować. Wybór i zajmowanie kwater pod drzewami, albo na placach otwartych, zależnie od upodobania.

Wieczór się zbliża. Poczynają w lesie wyrastać namioty. Stawiane z całą premedytacją, z fosami w koło na wypadek deszczu i innemi ubezpieczeniami.

Widać też, pomysłowość w stylach, w których uderza przedewszystkiem humor architektów.

Stanął namiot pułkownika o kształcie indyjskiej pagody. Napis: »Willa Niemaboja, bo tu mieszka Roja«. Stanęło pobok skromniejsze »Podhale«. — A że na wieczyry gościć ma w Komendzie naszej Brygadyer Piłsudski, więc pionierzy według planu ich komendanta, małego, ale groźnego »Gewonta«, budują altanę z brzoź ściętych pomiędzy kolumnami sosen, sporządzają ławki i stoły na ucztę, orkiestra się gotuje...

Nagle — rozkaz wymarszu. Zwijanie prędkie namiotów. Wieczerać niema czasu. Pułk wyrusza, już zmrokiem, w stronę Borzechowa.

— — — — —

R O Z D Z I A Ł S Z Ó S T Y.

Tren bojowy pozostaje w lesie w pogotowiu. Zostają z komendantem Czechowskim przy trenie. Zapada noc. Gwarzymy, czuwając: może nadjechać z pułku posłaniec z rozkazem.

Jakieś dziwne dzieją się sprawy poza ścianą mroku. Tajemnicze przemarsze, przesuwanie jakoby walców żelaznych po zbożu — zciszone wgnioty kół po roli piaszczystej — liczne, zgłuszone tententy.

Dochodzi nas daleki łomot karabinów. Wzmaga się, przechodzi w gorączkową, znaną już słuchowi młockę.

Naraz — z pobliskiej wsi (Kłodnicy), gdzie kwateruje pułk Brygady, rozlegają się dźwięki orkiestry — mnogie krzyki: hurra!...

Zwycięstwo? Może zajęcie Dębłina?!

Nie, to bataliony, żegnane, wychodzą na pozycję.

Widać przez mroczną szreń majaki kolumn na zakręcie, jak wsiąkają w tajń nocy.

Dalekie łuny pożarów.

Nad ranem ordynans przyprowadza rannego konia pułkownika i, wystraszony, opowiada, że pułk był w walce, że dużo jest zabitych i rannych, mówi jednak tak troisto, że, widno, nic prócz strachu własnego nie widział.

O świcie otrzymuję rozkaz, bym się udał do pułku. Tren jeszcze ma pozostać. Jadę z jeźdźcem meldunkowym, który wskazuje drogę. Podążają też kuchnie polowe za nami.

Jedziemy naprzód polnymi szlakami, później trafiamy na drogę, z jakiejś wsi wiodącą, wreszcie do-
stajemy się na szosę.

Słońce już wyszło. Widać po ożywionym, wczesnym ruchu dnia, iż noc ta ważne jakieś spełniła zadanie. Przerwała jakąś tamę, legła w poprzek drogi, i oto się ruszyły wstrzymywane fale. Wałą szosą oddziały różnej broni. Turkoczą ciężkie skrzynie artyleryjskie, przemyka bokiem artylerya. Dążą treny. Wszystko na wschód.

Mijamy spalony Borzechów, który nocy wczorajszej tak jasno płonął. Spotkany doktor nasz pułkowy kap. Bobrowski, który tu ma stację opatrunkową, objaśnia nas, że pułk ma jedenastu lekko rannych; zabitych wcale nie ma.

Za Borzechowem przejeżdżamy przez linię okopów rosyjskich, idącą grzbietem wzniesienia w obie strony szosy. Już samem położeniem panująca nad doliną, umocniona jest jeszcze przedpołami drutów, jak wi-
dać: przez ataki porozrywanemi.

Z dziwnem uczuciem patrzę na to pole zryte. Tu się tej nocy rozgrywał bój. Tu nasz pułk po raz pierwszy przyszedł na linię.

Za przechyleniem odsłania się pole równe z łęgami zbóż po obu stronach drogi, dalej na prawo



Odpoczynek w lesie.

i lewo niżkie ścienia lasu. Szosa zmierza prosto i ginie gdzieś w schyleniu. Na tejto szosie spotkaliliśmy po raz pierwszy jadącą przeciw nas kawalkadę dziwną, którą odtąd już często mieliśmy za każdym odwrotem Moskali spotykać. Długi rząd wozów chłopskich ciągnionych z wysiłkiem przez chude, wybrakowane koniska. Pobok konia woźnica stary, ledwo wlokący nogi. Na wozie wązkim spiętrzony wszystek majątek: skrzynia, tłumoki różne, worków wypchanych parę, graty — na tem siedząca kobieta, dzierżąca na rękę niemowlę, indziej gęś lub kojec z kurami — albo zaś kobieta idąca pobok fury, prowadząca krowę, lub cielę na powrozie, na furze zasię dzieci kilkoro drobnych jak w gnieździe — albo pomiędzy spiętrzonymi na wozie gratami dziecko śpiące, przy niem małe prosię, pod wozem na powrózku piesek. I tak z małemi przemianami jeden wóz za drugim. — A sznur tego długi — nieskończony, rzeka niedoli.

Skąd ci ludzie? Dokąd ta wędrówka?

Oto przez Moskali z miejscowości różnych zagarnięci, przyostali, przypadli w schronach lasu podczas ich odwrotu i teraz, dostawszy się na tę stronę ruchomej linii, wracają do swoich siedzib. — Ludzie szarzy, półmartwi z przebytych udręczeń, zdają się świata nie spostrzegać, w głąb swojej nędzy zapatrzeni. Włoką się, włoką — już im nic nie dziwne — wszystko widzieli: i pobranie synów, i pohańbienie córek, i spalenie w ich oczach dobytku. Wracają,

wiedzą — na zgłiszcza. Ale na swoje. Mniejsza to już niedola, niż być gnanymi w świat bez jutra.

Młodzieży wśród nich niema. Jenó starzy i dzieci.

Zapytuję pierwszego woźnicę:

— Skąd wyście gospodarzu?

Pojrzał na mnie, na mundur, oczy mu się przysgaśle jakby ożywiły.

— Z Urzędowa — mówi. — Ale wieś naszą spaliły.

— Wiem, przejeżdżaliśmy.

— I kościół, mówią, spalony.

— A czemuście nie ostali? czy was gwałtem zagarnęli?

— Straszły Niemcami, że będą palić, rabować, a potem i gwałtem nas pędziły. Naród nie wiedział, czego się trzymać. To był popłoch, panie.

Poczem dodał:

— Ale dziś wiemy, kto wróg. Pokazały nam do wodnie. Już i ten mały, co na furze siedzi, zapamięta — wskazał biczyskiem na chłopczynę, może lat pięciu.

Zbliżyli się dalsi przejeżdżający.

— A czy też Kazimierzów nie spalony? — pyta kobieta jakaś.

— Nie, stoi cało.

— Bogu dzięki i wojsku waszemu. Nie miały już widać czasu spalić.

Mamy ruszać, gdy zwraca się do mnie jakiś stary:

- Wyście z polskiego wojska?
- Tak, ojcze.
- Niech wam Bóg szczęści!
- Bóg zapłać za dobre życzenie.

Mijamy ten pochód nędzy, a fura za furą odciska się w oczach niestartą nigdy pieczęcią.

Nie wszyscy jednak są tak szczęśliwi, by mieć konia i wóz. Ci idą pieszo, dźwigając na plecach dobytek swój, przy nich drepcą dzieci. — Są z różnych stron, ze wsi i z miasteczek, spoleni jedną niedolą, są z blizka, są od Annopola, a nawet z tamtej strony Wisły, z Radomskiego.

Na prawo z gościńca w lesie biwakuje nasz pułk.

Skręcamy przez pole i stajemy w obozie. Rano jasne. Widać zmianę pewną w nastroju ludzi: odbicie dziejów krwawych nocy. A nawet czuć tę krwawość świeżą — odór bitwy — w okolnej atmosferze.

Udział pułku w bitwie minionej nocy tak się z relacji przedstawia: Późnym wieczorem przyszedł pułk na pozycję pod Majdan Borzechowski i rozwinął się jako pierwsza rezerwa austriackich stanowisk. Batalion I. kapitana Galicy na przedzie, za nim bataliony II. i III. pod dowództwem kap. Sikorskiego i por. Szerauca. Bój wrzał niezwykle zacięty. Rozwinięte w tyraliery, podsuwały się bataliony ku górze po świeżem ścierisku. Kule gęsto latały. Ze rzadka stojące kopki snopów dawały tym owym osłonę. Dużą potuchą dla chłopców, a ośmieleniem dla nowicuszów było, iż widzieli, jak pułkownik przejeżdżał konno wśród kul

pomiędzy tyraliery, nie dbając zgola na niebezpieczeństwo własne. Równie nie »dekowali« się oficerowie komendanci. Kap. Galica podprowadził śmiało swój batalion pod linię ostatnią okopów i do ataku nie doszedł tylko przez to, że już wojska austriackie linię nieprzyjacielską przełamały. Bój przesunął się za przechylenie ku lasowi, gdzie zażarte walki wręcz dokończyły dzieła. Wróg cofnął się w popłochu.

W komunikatach urzędowych bój pod Borzechowem zaznaczono jako najkrwawszy na tym odcinku.

Mieliśmy sposobność bezpośrednią oglądać część pobojuwiska borzechowskiego pod Majdanem. W sąsiedztwie lasu, gdzie pułk stał obozem, przechodząc przez pole owsa poza gościńcem, co krok napotykało się jakieś przedmioty porzucone przez Moskali: koce brudne, ziemiste szynele, czapki, tornistry, kociołki, łyżki, ówdzie karabin, bagnety, ładownice, i moc rozsypanych naboji. Przy kraju lasu kilka sosen wysokich, czapistych — jak widać z drabin pozostałych: gniazda obserwacyjne. — Las świadczy o charakterze walki, jaka się tu rozgrywała. Co chwila: dołki, zarzucia, często dopiero zapoczęte. Żołnierz biegł od drzewa do drzewa, przypadał do ziemi, czynił łopatką dołek-osłonę, strzelał, podrywał się i znowu naprzód.

Oto trup żołnierza... Łopatkę jeszcze trzyma w dłoni. Dwa razy zdążył szczyptę ziemi podjąć, okopując się, i padł, rażony kulą.

A oto telefonista... Jak, skulony za drzewem, trzy-

mał przy uchu słuchawkę — tak został w ruchu tym — — telefonuje.

Trzech rannych żołdatów pod drzewem. Jeden ciężko. Twarz straszna, obrzękła, cała w skrzepie krwi. Prosi wody oczami. Ktoś schylił się z manierką. Jeden oparty o pień, o nieprzyjemnym wyrazie: ryżej brodzie i małych, złych oczach. Ci są z pułku aleksiejewskiego. Ktoś mówi: twierdził lekarz austriacki sztabowy, że biorący w walkach tych udział symbirski pułk dobijał rannych. Uwierzyć trudno, a jednak niema nic niepodobnego.

Najduje się porzucone przez Moskali opatrunki z japońskim stemplem.

Sanitaryusze austriaccy pracują od świtu.

Za lasem na niedużym płacie — setki trupów Moskali. Istne pole śmierci. Grzebią od rana, a końca nie widać. Stamtąd zawiewa czasem powietrze słodkawie, które o mdłość przyprawia. Dzień upalny.

Las, w którym pułk biwakuje, poryty rowami — widać ślady walk — lecz Moskale tu musieli ustępować szybko, do walki wręcz nie doszło.

W obozie, jak w obozie — życie normalne wstaje. Namioty wyrosły. Sprowadzono tren. Nadjechały wozy z prowiantami — sierżanci kompanijni odbierają przypadające im części. Pracują warsztaty: szewski i krawiecki. Lecz największy ruch koło warsztatu zbrojmistra pułkowego. Chłopcy powymieniali na pobojożyku karabiny swoje (przerabiane rosyjskie)

na pozostawione przez Moskali manlichery. Uciecha stąd niemała.

Patrzymy na przemarsz Brygady I. odbywający się poprzód las gościńcem. Sprawnie to wygląda. Zwłaszcza artylerya wzbudza podziw swoją solidną ob=

sadą.
W tenże dzień przed południem odwiedził nasz pułk Eksc. Durski. Przyjechał z adjutantem por. hr. Krasickim. Przyjmował ich przed lasem na koniu pułkownik Roja.

Ku wieczorowi sanitaryusze nasi pod wodzą le= karzy pułku idą na poszukiwanie. Donoszą: rannych w lesie za gościńcem wciąż jeszcze się spotyka.

— — — — —

Otrzymałem rozkaz, by odwieść karabiny pozo= stałe do Komendy Legionów w Borzechowie i przy= wieść dla pułku z Komendy odprawę.

Korzystając z tego, że wozy prowiantowe miały wracać próżno przez Borzechów — by podwód umyślnie nie zamawiać — poleciłem na dwa z nich naładować przygotowaną broń, i wieczorem, gdy od= dział rzeczony trenu z powrotem wyruszył, wsiadłszy na koń, poprowadziłem wozy z ładunkiem do miejsca przeznaczenia.

Komenda mieściła się w południowej stronie Bo= rzechowa, w domku, który z niewieloma sąsiednimi ocalał od pożaru.

Po wyładowaniu karabinów wozy odjechały.

Nim tę sprawę w Komendzie załatwiłem, nim otrzymałem odpawę, godzina była już późna, jedenaasta lub dalej w noc.

Wsiadłem na konia i ruszyłem z powrotem.

Gdy mijałem, jadąc środkiem wsi, zgłiszcza świeże i popieliska domów, przyszło mi na uwagę, że akurat o tym czasie przed dwiema dobami znajdowałem się u wrót tej samej wsi wobec słupów ognia. Wydawała się miastem płonącym — tak ją pożar wzniósł. Dachy świeciły jako kopuły ogniste. Gdzie właściwie tych domostw zanikłych? Ni żywej duszy. Czarna straż kominów...

Skręciłem na szosę, która przecina wieś, i jechałem stępą pod górę.

Po obu stronach drogi szło pole — przebijało zgasłym światłem ścierni przez ciemność nocy.

Na pewnej wysokości zobaczyłem stojącego koło drogi jeźdźca. Stał zwrócony koniem do gościńca.

Zapewne patrol. Wyglądał jak posąg odziany w mrok.

Przejeżdżając poprzedeń, sądziłem, że zapyta mnie o hasło.

Milczenie.

Jechałem wolno dalej.

Myślę: wczorajszej nocy było tu hucznie dyabelnie. Tu się rozgrywała bitwa, na tem stoczcu. Po wyżej, w czole wzniesienia ciągną się w obie strony drogi okopy rosyjskie. Teraz opuszczone pustkowię.

I głusza. Jedyne chrzęst siodła w ciszy nocy. Zapewne w pułku już śpią. Północ będzie.

I nie wiem, skąd, przyszła mi na pamięć dawno zapomniana, słyszana w latach chłopięctwa opowieść wuja mojego, który gdzieś na Węgrzech osiadł i słuch o nim zaginął.

Służąc w roku 1870 przy ułanach, stał ze szwadronem swym koło Szegiedyna na Węgrzech. Dnia pewnego pojechał do sąsiedniego miasteczka i tam do późna się zabawił. Wracał w noc do oddziału swego. Padło mu jechać przez pusty dział. Ujechał kawał drogi — naraz słyszy za sobą turkot, niby jadącego wózka. Obziera się: — turkot ustaje, i nikogo na szosie nie widać. Rusza koniem — turkot znów się przywraca. I tak po kilkakroć. Odprowadziło go aż do wioski, w której stał kwaterą. Na drugi dzień usłyszał, że na drodze tej zastrzelony został ręką niewiadomą ułan, który za nim z miasteczka powracał. Tedy — powiada — zrozumiał, że to śmierć za nim jechała, nie dojechawszy.

Myśląc o tej opowieści, dojeżdżam pod wierch wzniesienia — mijam właśnie okopy rosyjskie, które się z obu stron drogi ciemną wyznaczają smugą...

Raptem — — koń mój gwałtownie rzuca się w bok. O włos, że nie spadł. Opanowałem go ledwie.

Jadąc dalej, myślę, co mogło być w rowie, iż się koń zląkł. Czyby trup jaki pozostał. Przejeżdżając tędy rano, nic podobnego nie zauważyłem. Widziałem okopy puste.



Kancelarya pułkowa.

Tedy — niewiada przez jaką analogię — wyobraziło mi się, iż na lewo od szosy we zbożu czai się ranny Moskał z karabinem. Nawet domyślałam się który. Ten, pod drzewem spotkany, o ryżej brodzie, nizkiem, zarośniętem czole i małych, złych oczkach. Wyczołgał się z lasu o zmierzchu i tu się przywłókł...

Karabin w dłoni ściska, słysząc tentent. Na tle nieba koń i jeździec widoczni: cel dobry.

A teraz właśnie podniósł do oka karabin i mierzy...

— Padnie — myślę — strzał.

Schyliłem się odruchem na grzbiet konia.

— Dlaczego strzał nie pada?

Wszystko to naraz wydało mi się bardzo śmieszne.

— Ciekawym, czy nie usłyszę jeszcze owego turkotu...

Zdała zobaczyłem wyznaczający się w mroku majak lasu, jakby ściany gościnne domu. Światła dawno pogasły. Gdym przybył do obozu, pułk spał snem głębokim.

— — — — —
Nazajutrz dzień wstał jeszcze upalniejszy. Powietrze, które już wczora dawało się przykro znosić, stawało się z godziny na godzinę coraz uciążliwsze. Rozkład szybko postępował. Z południa — to już było tak jak w odrzwiach trupiarni. Z pola śmierci szły

fale trujące i roznosiły się nad ziemią. Odór zabijający przeciągał w bezwietrzu parnym pomiędzy ścianami lasu.

Z tej przyczyny każe pułkownik przenieść obóz na drugą stronę lasu, od południa, gdzie nie dochodziły zawiewy trujące.

Pod wieczór się ma, gdy zaczynają ściągać grupy oddziałów na upatrzone wprzód miejsca. Najdują się tu miłe partje leśne z młodzieżą sośnianą i wysokimi brzózkami. Teren kwaterunkowy zapowiada się dość zachęcająco. Koło lasu biegnie droga, mało jeżdżona. Napotykanie koło niej zaczątki rowów, doły i pojedyncze zakopy, tak od strony lasu, jak i po kraju sfłoczonego żyta, mówią o szybkim posuwaniu się tu walk ku stronie wschodniej.

Przy drodze zatrzymuje wzrok mogiłka samotna żołnierza. Widać wykopał sobie dół w gliniastej ziemi — po kraju żyta, — może nie zdążył jeszcze zeń wystrzelić — i padł, rażony kulą. Koledzy nie mieli czasu kopać grobu — przysypali go w tym dole ziemią, którą on wyrzucił: — jeszcze część kopca została, świadcząc jako to było. Na mogiłce zatknęli krzyż, naprędce z dwu prostych deszczulek zбитy — imienia nie wypisali — na krzyżu zawiesili czapkę infanterzysty. Niewypowiedziany wyraz ma ta czapka zrudziała, zatknięta na krzyżu, z uszami na nierówne ramiona krzyża smętnie opadłemi. Bezimienny infanterzysta — milion, chodzący od krańca do krańca Europy, gdzieś na obcych drogach w dół, własną

ręką wygrzebion, stoczony. Oto los jego. Jak ta czapka.

Staął już w kraju lasu namiot pułkownika. Wyrosło parę innych. Pionierzy, ściąwszy brzoźki z liśćmi, sporządzają altanę dla sztabu na wieczerzę. Spieszą się, bo zmierzch już zachodzi. Orkiestra próbuje instrumentów, poczyną jakiś kawałek — —

Naraz: jeździec z rozkazem Komendy. Rozkaz brzmi: Wymarsz niezwłoczny pod Czołnę. Mamy zluzować z pozycyi pułk 31.

Altany nie dokończono. Zebrano szybko namioty. Bataliony już się szykują na drodze za lasem. Tren w pogotowiu.

R O Z D Z I A Ł S I Ó D M Y.

O zmroku wyruszył pułk, w kierunku wschodnim. Adjutant posłany naprzód dla wyznaczenia miejsca i zbadania warunków terenu. Mijamy wioskę Połówek, rozłożoną koło szosy, gdzie stoi część Brygady pierwszej. Poczem droga wynosi się na dział. Skracamy z szosy na prawo, na rozbież pól między zbożem żęte i stojące. Spotkany chłop z pod Majdanu wskazuje kierunek drogi przez obszary zagonne — do Czołny.

Noc cicha, księżycem, dogasającym na zachodzie, słabo prześwietlana. Cicho też suną długie majaczne kolumny, skręcają się u wylotów miedz, jako wąż pełzną pomiędzy zboża szelestne z wyniosłego, półwidnego działu.

Naraz uderzą w powietrze, jak grom jasny, huczące dźwięki orkiestry pułkowej. »Marsz Czwartaków...«

Odegną się, wyprostują przytrwożone tajnią nocy serca żołnierskie. Pewność, otucha w nie wstąpi. Tak pułk czwarty hucznie podchodzi na pozycję.

W tę noc księżycą cichą wybuchające z wysokiego działu dźwięki orkiestry czwartackiej są jak wyzwanie śmiałe. Donosi je też zapewne cisza nocna

do niewidnych pozycyi wroga. Mówił nam później znajomy oficer Polak z 31. pułku obrony krajowej:

— Siedzimy w okopach w nocy, czekając na zmianę. Cicho, nudnie. Naraz słyszymy: muzyka. Znanie dźwięki marsza... Niemcy zdziwieni pytają: »Was ist das? Was für eine Musik«? A my, co nas Polaków było, słuchamy wzruszeni. »Bartoszu« — »Jeszcze Polska...« Łzy nam się do oczu cisną. Poznaliśmy, że to Legionów pułk jakiś przychodzi.

— — — — —

Zstępujemy do wsi Czołny.

Domy jak zamarłe. Po sadach poza opłotkami jakieś przyczajone treny. Wszystko zciszone. Czuje się niedalekość wroga.

Drogą pomiędzy rzędami chałup bataliony w milczeniu przechodzą. Księżyc zaszedł. Na ziemię zsunęła się ciemność.

Skręcamy drogą na pola. Jakaś łąka, jakieś dźwięgające się wzniesienia. Oszlaki zboża i majaki kóp. Na lewo wyżej mrocznia lasu.

Bataliony rozwijają się w kolumny. Idą rozkazy zciszone. Podchodzimy ku lasowi dla upatrzenia miejsca na kwaterę noclegową sztabu. Prowadząc konie za uzdy, wchodzimy w ciemności wnętrza. Słyszymy przechodzące koło ściany lasu oddziały wojsk: wracają pod osłoną nocy z pozycyi. Zasię inne przychodzą na zmianę.

W lesie, jak w lochach więziennych: odór po-

wietrzny, odraza. Wiążemy konie do drzew na jakimś przestrzniejszym placu — a oto coś się w ciemności łomota. Trzask gałęzi, potknięcia. Pojrzenie latarki... To nasz batalion pierwszy. Przechodzi przez ośmę lasu.

Namiot Komendy pułku stanął na otwartym polu, na ścierni, ścianą snopów od południowej strony maskowany. Tuż obok przy skraju leśnym usadowiło się ucho pułku, telefon.

Noc przeszła na czujnym spoczynku. Gdy świt rozwidnił ziemię, ujrzeliśmy się na przechyłości rozległego wzgórza, którego połać wschodnią las objął. Schylenie południowe schodziło ku jakiejś wsi, rzeczce, zaczęło wynosić się znów płatami pól przeciwnych ku leśnym grzebieniom, wieńczącym oddalne, górujące nad okolicą wzniesienie.

Pod onymi grzebieniami lasu dały się nawet gołębkiem dostrzedz, niby miedze w zbożu, linie pozycji nieprzyjacielskich.

W dole, we wsi, za rzeczką, niewidne przez osłon sadów, były pozycje nasze, obsadzone tej nocy przez brygadę pierwszą.

Bataliony trzy naszego pułku stały, jako rezerwa brygady, w lesie wyżej wspomnianym, który w raportach nazwano »pod Czołną«.

Tam przebyliśmy pięć dni całych, od 25. do 30. lipca.

Treny pod las ściągnięto. Bataliony z oddziałami karabinów maszynowych rozmieścili się oddzielnie

w różnych częściach lasu, każdy w swoim niejako rewirze.

Las był obszerny, lecz niezachęcający wnętrzem, bo zanieczyszczony srodze postojami wojsk, zdeptan, znieważony w swojej świątynności.

Już odtąd w drodze dalszej nie spotkamy lasu — chyba dopiero za Bugiem — którego wnętrze nie byłoby nie sprofanowane. Ów opiewany bór polski, pełen osobliwego uroku i życia, stał się przez przechód wojny wydeptaną stajnią. Życie z jego zakątów uciekło: zwierzyny, ni ptaka nie upatrzeć.

To też pułkownik, zwolennik piękna pierwotnego ziemi i przestronnego oddechu, omijał, jeśli mógł jeno, cuchnące taborem ludzkim i skażone, choćby wygodne, kwatery, a wybierał na postój, krótszy czy dłuższy, miejsca nietknięte, poza wsiami, na wzgórzach, za lasem. Przyczem mniej cenił nieraz bezpieczeństwo własne, niż dar świeżego oddechu.

I tu namioty Komendy pozostały na otwartem polu, na wzniesieniu, choć, z pozycji nieprzyjacielskich widoczne, mogły ściągnąć na się deszcz szrapneli. Lasek maskujący, który z zatkniętych w ziemię gałęzi wyrósł o wschodzie wokoło namiotów, nie złudziłby obserwatora bystrego. Takich Moskale na szczęście nie mieli, nie mieli też amunicyi dostatka. Ośm armatnich strzałów wypuszczali dziennie, kierowanych na baterye nasze, które im szkody niemałe zrządzały, lub do wsi na dół, gdzie stała brygada pierwsza. Tam zdolali pociskami zapalić parę domów.

Przez pierwsze dwa dni naszego w lesie pod Czołną postoju padał deszcz. Wysilek też obozu całego skierowany był ku temu, by się od wilgoci zabezpieczyć. Rozpinano celty, otaczano je rowkami, któryś z oficerów batalionu III. sporządził sobie nawet przemyślnie schronisko ziemne. — Las namiotów stożkowych wyrósł w przerzedziach leśnych.

W sąsiedztwie naszym stał jeszcze pułk 31. obrony krajowej, wstrzymany od wymarszu deszczem. Dowiedziawszy się wraz z kap. Galicą i chor. Gwiżdżem, że jest w pułku tym porucznik Jakób Zachemski, nasz krajan=Podhalanin, odwiedziliśmy go w jego ociekłym namiocie, i tam w lesie »pod Czołną« odbyliśmy — członkowie komitetu wykonawczego Podhalań — posiedzenie, gwarząc o dziwnym losie, który nas tu przyniósł, radując serce wspomnianiem naszej wysokiej ojczyzny, i tem, że Podhale tak godnie stanęło, najwięcej z ziem polskich, bo prawie półtora tysiąca, dając chłopców=ochotników do Legionów.

W drugi dzień przyrzekł obecność swą w Komendzie pułku naszego na wieczery Ekscelencya Durski. Mimo, że deszcz lał jak z cebra, zjawił się u nas o zmroku z adjutantem swym por. hr. Krasińskim. W altanie, z olchowych kijów sporządzonej, której dach, pomimo pokrycia celtami, przeciekał, odbyła się skromna kolacya z przeszkodami. Ekscelencya przyjmował te niedogody z humorem, pokrywając wszystko swoją wytworną prostotą. Orkiestra grała wśród ulewy, popisując się też chór Legionistów



Przejšcie Wisły pod Annopolem.

w mroczni lasu. Przy stole, ociekłym deszczem, wywinęły się anegdoty wesołe, opowieści. Późno we wieczór opuścił Ekscelecencya naszą kwaterę leśną.

Życie w obozie, gdy deszcz ustał, roznieciło się na dobre. Warsztaty, jak bazy, porozkładały u wejścia namiotów swoje liche stoły. Kancelarya pułkowa, kryjąca się przed deszczem z aktami w zachronie celt, rozpoczęła urzędowanie na słońcu pod baldachimem konarów. W kompaniach, niby w poddłaczanych kurenkach, swoiste życie rozdniało. Przejść wśród namiotów — : ten się wczasuje, ów czyści broń — ówdzie kółko przyjaciół wesołe — tamten naprawia garderobę, inny kompot sobie w menażce nad ogniem warzy — jakiś opieka gęś. A oto węch ściągające, spreperowane, nad ogniem rozpięte całe prosię. Z odpowiednią powagą siedzą przed nim wyczekując właściciele spółki.

Ukazały się dwa pisma obozowe: jedno satyryczno-humorystyczne »Reluton« i drugie, poważne »Czwartak«. Usiłowania, by połączyć obie redakcje, skutku nie odniosły.

Nadeszła do pułku poczta, pierwsza od wyruszenia. Z nią przyszły też z Piotrkowa wieści hiobowe, że »podobno połowa pułku czwartego zginęła«, że nas już niema i t. p. Wielce nas to ubawiło. Do kroniki pułku przybyła jedna humorystyczna rubryka: wieści z za frontu.

Tymczasem życie w obozie beztroskliwie szło. Chłopcy, zwiedziawszy się o miodzie w osiedlu po-

blizkiem, o wiśniach poniżej we wsi i innych pokusach smaku, wyprawiali się po nie pojedynką lub grupkami, mimo wart przyleśnych, które miały przykaz niepuszczania żołnierzy przez pole otwarte, aby nie ściągnąć kręceniem się ludzi uwagi obserwatora nieprzyjacielskiego.

Że nie gorzej się działo i w brygadzie pierwszej, zajmującej przed nami pozycje we wsi, mieliśmy sposobność stwierdzić choćby z następującego przydarzenia. Przeprowadzono koło nas kilku jeńców-Moskali, wziętych w takich okolicznościach: Poszli oni do chałup w pasie między pozycjami na kury, w tym samym celu wyprawiło się do tychże chałup kilku relutonów z brygady — jeno z tą różnicą, że ci mieli z sobą karabiny, a Moskale nie. Wzięli ich przeto jak swoich.

Poczta nadniosła gazety. Czytaliśmy też co dnia komunikaty urzędowe, załączone w rozkazach Komendy. Dowiedzieliśmy się z nich, że kilka fortów Dębłina zdobyto, że z lewego brzegu Wisły wygarniają Moskale.

Stało przed nami w onym lesie pod Czołną marzenie: Lublin=miasto. Zapewne — i dochodziły nas słyny o tem — Moskale utwierdzają się na wzgórzach przed Lublinem, lecz ostatecznie tam, wierzyliśmy, po dwóch — trzech tygodniach walk dojdziemy. Kierunek czoła naszego: na Lublin.

R O Z D Z I A Ł Ó S M Y.

Dyspozycja na dzień 29/7. brzmiała:

»Czwarta armia rozpocznie dalszą ofensywę. Silne oddziały I. brygady w ścisłej łączności z 60. brygadą przekroczą zagłębienie Radawczyk-Babin o świcie 29/7. — Jako rezerwa, pułk 4. — Wszystkie oddziały Leg. Pol. stać będą w pogotowiu, aby przejść w danej chwili natychmiast do ataku, względnie, — gdyby nieprzyjaciół natarł — powstrzymać go.«

Zaczem jeszcze z wieczora na 29. nakazano w pułku ostre pogotowie. Wydano dyspozycję komendantom batalionów i komendantom oddziałów karabinów maszynowych.

O 3. godzinie w nocy — — alarm. Słyszemy: atak na obu skrzydłach. Posunięto bataliony. Pułk jednak nie wszedł w działanie.

Przez cały dzień 29. stały oddziały pułku w pogotowiu. Wieczorem zanieciły się na skłonie północno-wschodnim łuny dalekie pożarów. Olbrzymia łuna z wyjawem — zdało się — płomieni wykwitła w stronie Lublina. Mówią: to Lublin się pali... Gniew nas ogarnia bezsilny. Miasto pragnione... Nie zdążymy.

30. sierpnia wczesnym rano zarządzono wymarsz.

Już dnia poprzedniego dane były dyspozycje odnośne, to też pułk zwinął się szybko. Godzina nie uszła, jak wszystko spakowane — porządkiem unormowanym pułk wyruszył.

Mija nas sznur konnicy Beliny. Gdzieś spieszą. Słyszymy, że por. Ostoja ze swym oddziałem przejechał. Czyżby już do Lublina? Nie wskazują na to dyspozycje, wydane batalionowym, iżby marsz odbywał się w bojowym pogotowiu.

Wkraczamy do wsi, gdzie stała brygada pierwsza. Widać odcinki rowów wzdłuż rzeczki i rzadkie doły okopanych tyralierskich. Łączki, moczary, z których dźwiga się połogie zbocze pól.

W połowie wsi bataliony otrzymują rozkaz rozwinięcia się w kolumny rezerwowe, co gdy wykonały z precyzją, nadchodzi zmiana: maszerować dalej, na Radawczyk.

Ruszamy więc pod górę, mijamy wozy trenowe brygady — u czoła wzniesienia napotykamy znakomicie urządzone pozycje rosyjskie. Dalej za przechyleciem cmentarz, z napoły porozbijanymi nagrobkami. Stała tu widać bateria nieprzyjacielska, i nasza artyleria ostrzeliwała to miejsce. — Słyszymy, że patrole wyłapują po lasach (na prawo) Moskali.

W drodze otrzymuje Komenda pułku odpis rozkazu (do brygady I):

»Nieprzyjaciel na całym froncie 4. armii w odwrocie. Komenda armii nakazuje bezwzględny pościg aż do linii potoku Ciemięga. Brygada I. starać się

ma dojść jednym ciągiem do linii Dąbrowice-Płoniszowice. Czwarty pułk podejdzie do Uniszowic. Komenda Legionów do folwarku Motycz.»

Dążymy dalej, mijając rzadkie osady. W Teresinie zarządzo no krótki spoczynek obiadowy. Komenda pułku staje przy jakiejś chacie koło sadu. Dostajemy garnek mleka kwaśnego, chleb razowy, masło. Migiem się to minęło. — Kuchnie pułkowe nadciągnęły, wydają kompaniom obiad.

Odwiedza Komendę pułku Ekscel. Durski, w przejeździe do Motycza.

Z południa ruszamy dalej wskazaną drogą na Motycz. Bataliony maszerują w pewnych odstępach za nami.

Dobijamy do toru kolejowego. Komenda pułku wysyła meldunek: »Godzina 3. po poł. 4. pułk przekracza linię kolejową Iwangród-Lublin.« Mijamy tor, na prawo zostaje stacya Konopnica, i wyjeżdżamy na szosę, idącą z zachodu do Lublina.

Jakżeż nam przykro, że będąc tak blisko upragnionego miasta, musimy — podług wskazanego kierunku pościgu — wyminąć je i, dziesięć wiorst jeno oddaleni, przejść dalej na północ.

Widzimy już ze wzniesienia wizyę białych i różowych wież, niby zjawę podkrakowskich Bieleń.

— Lublin...

Mijamy, jadąc szosą, drogę do Motycza — aż zatrzymujemy się u wylotu drogi bocznej, obsadzonej drzewami, wiodącej do Uniszowic. Tam naznaczono na dzisiejszą noc kwaterę pułku.

Nadjeżdża właśnie paru jeźdźców od strony Lublina. Porucznik Kleeberg, zastępca szefa sztabu Komendy Legionów.

— To od Lublinianek — mówi, podając różę pułkownikowi. Opowiada z zachwytem o mieście, o powitaniu entuzjastycznym, jakie spotkało pierwszych wjeżdżających do miasta: ułanów Ostoi i ułanów Beliny.

— Kto chce jechać do Lublina? — rzecze pułkownik. — Ja niestety nie mogę. Orkan? Bobrowski?

— Rozkaz.

Nie ociągając się, ruszamy z kopyta. Z nami por. Rawnikar. Pędzimy bez wytchnienia, aż konie pot oblał.

Zwalniamy. Wyłania się miasto w blaskach zórz zachodu. Różowe wieże i mury nad złotem polem zbóż...

— — — — —

Nie będę opisywał szczegółowo przyjęcia, jakiego w Lublinie doznaliśmy.

Na zawsze w pamięci serc zostaną te chwile tym z legionistów, którzy mieli szczęście stanąć w Lublinie w pierwszy dzień po wyjściu Moskali.

Czuło się po martwocie ziem Zawisła; po oziębłej rezerwie Piotrkowa, że się do Polski wjechało.

Ulice rojne, tętniące ruchem oswobodzenia, twarze radosne, okrzyki witające — życzliwość oczu spotykanych — gościnność otwarta serc — entuzjazm wol-

ności. Młodzież, z piwnic wywarta na ulicę — już w szeregach ochotniczych, w szarych mundurach strzeleckich... Wszystko to w obliczu walki, przy blizkim huku dział.

Wchodzimy do składu aptecznego. Subjekt prosi nas do pokoju obok. Zastajemy tam grono osób: kilku księży uciekinierów z okolicy, kilku miejscowych obywateli.

— Prosimy! prosimy!

— My was tu już, panowie, od rana czekamy.

Porywano nas w ramiona. Wiwaty, »zdrowia« tokajem — przemowy gęste.

— Dzięki Bogu i wam, miasto ocalało. Ledwie pocztę zdołali podpalić.

Doktorowi zaofiarowano na odchodnem kilkanaście fiaszek koniaku i starego tokaja dla chorych.

Jesteśmy w składzie wędlin. Po poczynionych dla pułku zakupnach gospodarz zwraca się do nas, że »żona prosi, byśmy im tę łaskę uczynili i wstąpili na górę na herbatę.« Herbata owa, to wspaniałe przyjęcie. Cała rodzina, panny sklepowe, ksiądz z siostrą z okolicy tu schroniony. A najciekawsze nas dwa dziewczątka, jeżeli pamiętam dobrze: Stefka i Janka. Opatrują nas ze wszystkich stron.

— Ona chce o coś prosić — mówi Janka.

— Żeby mi pan dał tego orzełka, co pan ma na czapce — mówi odważnie Stefka.

— Ależ Stefciu! — woła matka.

— Ja chcę orzełka.

— One, proszę pana, ze strychu przez okienko
na zmianę od świtu wyglądały, kiedy Legioniści wejdą.

— Mam już orzełka! mam!

Wieczór spotykamy kolegów z pułku. Pułkownik
uwolnił po kilku z batalionu oficerów na wieczór do
Lublina.

Całą piersią chłoną entuzjazm miasta, nim przed
świtaniem wrócą.





Oddział karabinów maszynowych por. Klisiewicza.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

— Pułk czwarty w ogniu!

Taką wiadomość przywiózł ktoś do Lublina dnia następnego z południa.

Konie odesłane do pułku — czekamy na powóz przyrzeczony. Doktor niecierpliwi się, przeżywa niepokój, jako lekarz pułkowy, podwójnie.

Huk armat z północnej strony miasta. Na ulicach tłok. Ludzie z niepokojem patrzą na wracające treny.

Nareszcie powóz przybył — ruszamy. Niestety, nie mogąc jechać drogą wprost, która nadto ku pozycyom zbliżona — czy też mylnie poinformowani, — musimy uczynić koło, jadąc drogą nieznaną na zachód.

Ciemno już, gdy dojeżdżamy do wsi Konopnicy.

W stronie północnej pożarów kilkanaście.

Huk armat, przez całą drogę grzmiący okrutnie, przycicha. Natomiast wyrywa się klekot karabinów.

Skręcamy w stronę Motycza. Pułk nasz ma być w Płoszowicach.

Błądźmy. Ciemność, potęgowana łunami pożarów, oślepiając, kładzie się, jak tajemnica nieodgadniona pod stopami.

I ta straszna, nerwowa młocka karabinów... Wy-

błyski rakiet. Zmieszane okrzyki: »Hurra«!... Nagłe momenty ciszy.

— Coś się tam straszego dzieje... Pułk nasz... Był pędzej!

Mijamy Motycz=dwór — okna oświetlone jak w szpitalu. Krótszą drogą przez pola... Już blisko...

— Fury jakieś... Kto jedzie?

— Ranni z czwartego pułku.

— Kto? Kto? — zeskakujemy.

— Porucznik Bończa=Uzdowski, podchor. Otto, chor. Krajewski...

Pytania pędkie: — Jak? co?

— Pułk atakował. Bataliony pierwszy i trzeci. Strat sporo.

— A jużem był z kompanią — mówi Bończa — coś 60 do 80 kroków od drutów, kiedy »psia kość — cholera« dostałem kulka dwa razy.

— Gdzie?

— Szczęśliwie, w nogę — mówi ze zwykłym humorem i ucisza jęczącego na furze towarzysza.

Żegnamy się, życząc rychłego powrotu do zdrowia. Doktor naspiesza, nagli.

Poomacku, z przeszkodami, dobijamy wreszcie do Płonszowic, do chałup w kotlinie pod lasem, gdzie mieści się stacya opatrunkowa 4-go pułku. Pracuje tu por. dr. Kołłątaj z paru sanitaryuszami. — Rannych znoszą a znoszą. Co partyę opatrzoną odprawia na wozach do Motycza, nowa nadpływa. Dr. Bo-

browski zakasał rękawy, zabrał się do roboty. — Zostawiamy go, ruszamy w górę przez las do Komendy pułku.

— — — — —

• Wszedł świt 1-go sierpnia.

Odkrył, wyjawił się oczom: od wczoraj wstawiony krwawo teren „pod Jastkowem”.

Namiot Komendy pułku mieści się pod dębem u samego czoła wzniesienia, od południa. Wokół ścierni. Korona dębu rozłożysta przenosi grzbiet. Na wschód i zachód rzucone ramiona płaskowyżu. To na wschód prawie równe, o szerokiem pogrzebieniu, na którem golizny ścierni, płaty owsa, czub lasku i poza switałem zbóż dalsze ścienia lasu. — Namiot od strony północnej osłonięty jest snopami zboża.

Tuż poniżej namiotu batalion II-gi kapitana Sikorskiego, okopany, w rezerwie.

Ludzie śpią, prócz wart i telefonistów. Sen ciężki, po przeżyciach dnia wczorajszego i nocy ubiegłej.

Świt jasny wstał. Mimo to czuje się przygniot minionych wydarzeń — jak w domu po nieszczęściu. Idzie z pobladłych twarzy, z oczu przymierzchłych, z tajemnicy pól.

Leniwe pogłosy strzałów, jak krople po burzy przeszłej, donoszą się z blizkich pozycji.

Przechodzę grzbietem wzniesienia ku przechyleniu północnemu, skąd roztwiera się widok na teren boju.

Falą długą, przegiętą staczają się połogim spadem

ku północy odsłonięte pola, na których calizna ścierni z potraconymi snopami i przyostały w przegięciu łąn zboża. Nierówne stocza przejmują długą, wąską łąkę, nad którą laszek brzozowy. A z prawa i z lewa łąki wydzwigują się opadłe pola, wychodząc płatami zbóż, koniczyn, w podobnie naprzeciw ległe, jeno na oko wyższe, wyniesienie.

Na obrzeżu onego wyniesienia, od strony lewej, a prawie w promieniu północy, większe skupisko drzew, wychodzących czołami na światło nieba: Jastków. A zasię z prawej wkraczająca na horyzont linia szosy Lublin-Jastków,znaczona pochodem drzew.

Na wyniesieniu tem dominującym, od Jastkowa wzdłuż szosy, przechodzące przez nią w ukos, ledwie dla oka znaczne: pozycje rosyjskie.

Poniż tych pozycji, naprzeciw Jastkowa, na lewo od lasku brzozowego okopał się nasz batalion III.

Na prawo od tegoż lasku, na pochyłości wśród zbóż, u straży samotnej gruszy, przypadł ku ziemi batalion I.

Wyznaczają się rdzawo rwane linie zakopów, w pośpiechu poczynione.

Idę po ściernisku w stronę wschodu, rozważając sceneryę przypuszczalną dnia wczorajszego. Kule bzykają, jak muchy w dzień upalny.

Przejeżdża mimo na koniu pułkownik, jako za-
zwyczaj w osępie chmurnym zamyślenia, którego treści nie przeznaczyć.

— — — — —

Akcya dnia poprzedniego tak się w świetle relacji i meldunków pułkowych przedstawia:

Pułk 4=ty, jak było naznaczone, stał kwaterą jako rezerwa w nocy z 30. na 31. sierpnia w Uniszowicach.

Dyspozycja ogólna na dzień 31/8. opiewała: »IX. korpus rozpocznie o godzinie 7. przedpoł. dalsze posuwanie się, i o ile na linii Garbów=Kurów znajdują się tylko tylne straże nieprzyjacielskie, zaatakuje je i odrzuci. Jest przeto rzeczą najwyższej wagi wywiedzieć się, czy na stanowisku tem znajdują się, główne siły nieprzyjacielskie, czy tylko tylne oddziały. Wywiady te zarządzi brygada I-sza i pułk 4=ty Leg. Pol. Przestrzeń ataku Legionów Polskich na wschód: Barak=wylot zachodni Snopkowa, na zachód: wylot zachodni Jastkowa. Na lewo Legionów Polskich brygada 60., na prawo 41. dywizya.

Kwatera Komendy Legionów: Płonszowice, brygady I.: Barak, pułku 4=go: Lasek na południe od Jastkowa. Zakład sanitarny: w Motyczu na folwarku.

Dnia 31-go o godzinie 6-ej rano Komenda pułku 4=go otrzymała rozkaz: »Na południe od potoku Ciemięga, na wzgórzach, znajdują się nieprzyjacielskie punkta obrony, odrutowane i prawdopodobnie przez tylne straże obsadzone. Atak na te pozycje rozpocznie się o godz. 7-ej przedpoł. Pułk 4=ty wraz z brygadą 1-szą w ścisłej ze sobą łączności wezmą udział w tym ataku.«

Już o świcie tegoż dnia podprowadził pułkownik Roja oddziały swoje na wzniesienie między Aleksandrowską Stawką, a Barakiem. Tu założywszy na wyniosłości pod dębem kwaterę Komendy pułku, skąd łatwo można było objąć okiem teren boju, zarządził dalszą akcję. Batalion I-szy skierował na prawe skrzydło, batalion III. na lewe, zaś batalion II-gi zatrzymał jako rezerwę pułkową.

Komendant batalionu III-go, kap. Szerauc, rozwinął odrazu swoje kompanie cztery (które wiedli por. Nowakowski, Rutkowski, Baczyński i podpor. Kamiński) i począł posuwać je po falistym, opadającym na północ terenie, z dyrekcją na Jastków. Miał przed sobą szeroki obszar do przebycia, grunt odsłonięty i ku wyniesionym pozycjom rosyjskim schylony. Zmalałe płaty zbóż na caliznach ścierni jakoteż nieliczne natrafiane snopy nieznaczną tylko mogły dać osłonę przed gęstym ogniem nieprzyjacielskim, który siał ze wzgórz jastkowskich. Mimo to w przebiegu krótkim zesunęły się kompanie nasze daleko po grzbietach gruntu i zetknęły się od lewa z oddziałami pierwszego pułku brygady, który również na Jastków miał rzucone czoło.

Zaś kap. Galica, przesunąwszy batalion swój na wschodnią połąć wzniesienia, na północny kraj lasu, który miał być podstawą operacyjną skrzydła prawego, pozostawił tam dwie kompanie, pierwszą i drugą (por. Bończy i Grzybowskiego) w rezerwie, a dwie (z por. Udałowiczem i podpor. Grefnerem) pchnął naprzód. —

Tu naprzeciw wzdłuż szosy lubelskiej idące rosyjskie pozycje znacznie były przybliżone, a że szły w ukos z nachyleniem południowo-wschodniem, mogła zachodzić obawa flankowego ognia. Mający zająć odcinek, łączący nasze prawe skrzydło z 41-szą dywizją, pułk 3-ci brygady I., jeszcze nie był nadszedł.

Dzielił pozycje nieprzyjacielskie od stanowisk pierwszego batalionu teren o kształcie rozwartego siodła. Grunt staczał się z wyniesienia lasu, poczem po załamaniu łagodnem wynosił się rozległą pochylnią ku drzewami wyznaczanej szosie. Wyścielała go jaśnia zbóż i ściernisk. Na środku w załamaniu stała samotna grusza. — Przeznaczone do wstępnej akcji, trzecia i czwarta, kompanie zbiegły z pagórka z pod lasu i, ostrzeliwane gęsto, przypadły w zagłębieniu. Weszły też niebawem w akcję bojową dwie kompanie rezerwowe. Wszczął się gwałtowny ogień.

A oto meldunki, które w tym dniu pułkownik do Komendy Leg. w Płonszowicach wysłał:

»Dnia 31/7. godzina 8 przed południem. Nieprzyjaciel wzdłuż szosy Garbów-Lublin silnie obwarowany. Na pozycje te prowadzę atak już od g. 7. Prawem skrzydłem zbliżony jestem do okopów nieprzyjacielskich na 500 i 300 x, natomiast lewe skrzydło, pomieszane z 1. pułkiem brygady I. znajduje się na 800—1000 x od linii nieprzyjacielskiej. Dalsze posuwanie się ze względu na silny ogień, także artyleryjski, i liczne straty, jest utrudnione. — Na mojem prawem skrzydle jest ciągle luka, którą silnymi pa-

trolami uzupełniam, utrzymując w ten sposób łączność z 41. dywizją. — Roja.»

»Dnia 31/7. godz. 9=45 przed południem. Moje prawe skrzydło jest silnie ostrzeliwane od strony Józefowa. Daje się tutaj zauważyć wzmocnienie linii bojowej. Przesuwam tam część rezerw pułkowych. — Roja.»

Kompania por. Zulaufa z II. baonu zostaje przesunięta ku skrzydłu prawemu. Dwie kompanie rezerwowe baonu I., przechodząc w linię, podsunęły się tuż natenczas ku gruszy.

»Dnia 31/7. godz. 11 przed południem. 3. pułk brygady I. wchodzi w odcinek pomiędzy mną a 41. dywizją, jednakowoż nieco w tył za moim prawym skrzydłem. Moje prawe skrzydło znajduje się obecnie na 200 kroków przed okopami nieprzyjacielskimi. — Roja.»

»Dnia 31/7. godzinie 5 po południu. Posunąłem także mój środek ku okopom nieprzyjacielskim na odległość 500 x. W nocy będę usiłował przełamać linię nieprzyjacielską. Dotychczas 4 zabitych i 18 rannych, w tem 1 oficer ciężko ranny. — Roja.»

Dyspozycja ataku (Angriffsdisposition) wydana przez brygadiera Piłsudskiego na wieczór tegoż dnia:

»Dąbrowice, dnia 31/7, godzina 5'30 po południu.

1) O godz. 7. wieczór rozpocznie się ogólny atak na froncie I. brygady Leg. Pol.

2) Atakują:



W okopach.

3. pułk p. z silną rezerwą na prawem skrzydle. Kierunek ataku na prawo: spalona szopa na wschód od Józefowa † 309.

4. pułk p. wszystkimi siłami zaatakuję nieprzyjacielskie stanowisko (Stützpunkt) pod Józefowem i okopy na północny-zachód stamtąd, wzdłuż szosy. Lewe skrzydło pułku ma mieć kierunek na Jastków=dwór.

1. pułk p. na lewym skrzydle zaatakuję Jastków.

3) 2. pułk p. stać będzie w pogotowiu jako rezerwa odcinka na północnym skraju lasu, na północny wschód od Płonszowic.

4) Przygotowanie artylerii rozpocznie się o godz. 6:40 po południu i trwać będzie do godziny 7:10 po południu.

O godz. 7. wysłane będą z całego frontu patrole dla przecinania przeszkód drutowych. O godzinie 7. ruszy linia tyralierska (Schwarmlinie) przeciw stanowiskom nieprzyjacielskim pod Józefowem i Jastkowem.

Polskie baterie 4. i 5. będą trzymały część okopów, które na wschód Józefowa przebiegają szosę, pod flankowym ogniem.

J. Piłsudski.«

W oznaczonym czasie artyleria zaczęła swoją introdukcję grzmotową. Mimo piekielnego huku — bo i ze strony nieprzyjaciela wzmógł się ogień działowy — przygotowanie artyleryjskie do ataku, podług zdania doświadczonych oficerów, nie było takie grun-

towne, jakby — wobec widnej jeszcze godziny (7=ma, lipiec) — mogło i powinno być.

O godzinie 7=mej, poprzedzane patrolami, ruszyły dwa bataliony pułku czwartego, I. i III., do ataku.

Teren, jak się już wspomniało, był od dominujących, silnie na wyniesieniu odrutowanych nieprzyjacielskich stanowisk ku naszym następującym oddziałom schylony i do ataku od czoła wielce niedogodny. Zwłaszcza batalion I-szy miał niefortunny płach terenu, bo oczom wroga otwarty i na ogień skrzydłowy od wschodniego przebiegu szosy narażony. Naprzeciw, w dali wśród drzew Józefowa umieszczona nieprzyjacielska silna bateria, miała teren obstrzału wi doczny — mogła zasypać szrapnelami podbiegające szeregi.

Mimo to — i chociaż więcej niż połowa żołnierzy pułku było pierwszy raz w obliczu podobnej prze rażni — wiara szła odważnie naprzód. Podbiegała plutonami na rozkaz swoich dowódców i przypadała na moment niedługi ku ziemi — by się zerwać znów, gdy ogień zdawał się przygasać.

Z pozycyi rosyjskich lały salwy gęste — grały z wydechami krótkimi karabiny maszynowe — kosiły kosy śmierci.

Już niektóre kompanie nasze wydarły się naprzód — już niektóre plutony podbiegły w momencie krótkim pod same druty rosyjskie. Ogień straszny, rażący — śmierć i ranienie dowódców — wstrzymały pęd...

Padł Roliński, chorąży, pluton czwarty pierwszej

kompanii prowadzący. Padł młodzieńki Bereski u samych wrót piekieł: u zajął drutów — ręką jeszcze skrzepłą, wyciągniętą, z rewolwerem w zaciśniętej dłoni wskazując drogę swemu plutonowi...

Upadł, ranny podwójnie, dzielny oficer Bończa, kompanię pierwszą batalionu I-go wiodący. Zastąpił go chorąży de Lavaux.

W tej drodze ataku na prawem skrzydle ranieni: chor. Krajewski, Gruber, Wyczałkowski, podchor. Otto, Majkuciński i Polakiewicz. Ranny też por. Pieracki, z siódmą kompanią batalionu II-go dla wzmocnienia ataku na skrzydło prawe przysłany.

To samo w trzecim batalionie. Ranieni oficerowie: por. Rutkowski, podpor. Jamróg, chor. Gutek i podchor. Krzysik.

W tymże stosunku ubyło w kompanii szarż i szeregowców. Oczywiście byłoby zatrąć — wobec ulewy ognia — iść naprzód. Nastąpiło siłą rzeczy wstrzymanie ataku — i tyle jeno wachnienia wstecznego wysforowanych zanadto oddziałów, aby wyrównać linię.

Wieczór nadał pułkownik Roja depeszę telefoniczną do Komendy Legionów tej treści:

»Sądząc po silnym ogniu i ilości karabinów maszynowych, skoncentrował nieprzyjaciół naprzeciw frontu 4-go pułku znaczne siły, i dlatego mógłby się udać łatwiej atak 41-szej dywizji lub 60-tej brygady. — 4 pułk po ustaleniu linii okopie się i będzie usiłował

jeszcze raz w nocy dostać się do nieprzyjacielskich okopów.»

Tak więc kompanie nasze, przerzedzone, ustaliwszy linię czoła, przywarowały ku ziemi — wgryzły, wko=pały się w grunt, zdobyty krwawo — wysyłając czujne macki patroli w tajń mroku, rozwidniałą zdradliwie rakietami, ku niedalekim pozycjom wroga.

Około godziny 10=ej w nocy przedsięwziął nie=przyjaciel ruchy kontrataku, na nasze prawe skrzydło i na lewe 3. pułku I. brygady, próbował też wedrzeć się klinem między I=szy a III=ci nasz batalion, co udaremniły pchnięte tam kompanie rezerwowe VII. i VI. batalionu drugiego pod komendą por. Wito=żeńca, zaś nierozwinięty zaczyn kontrataku zczeczł u progu rozmachu pod ogniem naszych pozycji. Dużą usługę oddał tu na prawem skrzydle komendant oddziału karabinów maszynowych, chor. Ajdukiewicz, który pozostawszy po ustaleniu linii na poprzednim, wysuniętem daleko stanowisku, w dużej mierze przy=czynił się do podcięcia zamierzonego kontrataku. Do=piero o godz. 3¹/₂ nad ranem cofnął się do najbliż=szych okopów pod gruszą.

Dyspozycja Komendy Legionów na dzień na=stępny <1/8>.

1) Dywizya utrzyma w nocy osiągnięte stano=wiska.

2) Armia przeprowadzi jutro atak dalej. X. korpus naciera najpierw.

3) Gdyby nieprzyjaciel do świtu nie opuścił swych

stanowisk, to zaatakują go Legiony Polskie oraz 41. dywizya.

Dalsze odnośnie do ewentualnego pościgu.

Depesza telef. Komendy 4-go pułku do Komendy Leg., nadana 1/8. o godz. 3'15 rano:

»4 pułk zajmuje pozycye, zajęte wczoraj w nocy, na przestrzeni: od zachodniego wylotu Paniensznej do zachodniego wylotu Jastkowa. Rezerwa pułkowa: trzy kompanie. Linia boju w środku naprzeciw »Gut« jest oddalona od szosy na Lublin około 100 kroków. Na wschód od 4. pułku znajduje się w łączności 3 pułk I. brygady, na zachód 1. pułk I. brygady. Patrole, wysłane nocą ku okopom nieprzyjacielskim, zostały odrzucone. — Pułk poniósł przy wczorajszym ataku znaczne straty.«

— — — — —
I oto świt, wzeszły nad zroszonem krwią polem »pod Jastkowem«, zastał szeregi nasze daleko na terenie niewdzięcznym przypadłe i po przesilku nocy zbiegłej czujnie wypoczywające. Linie batalionów — na lewo i na prawo lasu brzozowego — znaczyły się rdzawymi wyrzutami ziemi, jak pozaczynane zakopy drenowe.

Przechodzę grzbietem wzniesienia na wschód ku lasowi, stamtąd pod kątem prostym przez stocze pól, ku samotnej na przestrzeni gruszy, ku okopom batalionu 1-go.

Zaraz na wstępie spotykam komendanta batalionu,

Galicę, i adjutanta Relidzyńskiego. Twarze ich przyszarżałe tchną jakąś surową powagą, która pozostała w nich po momentach przeżytych ostatnio.

— Piekło tu było, bracie... — mówi Relidzyński. — Człowiek nie wierzy, że to mógł przeżyć, i że słońce wstało... A ta ręka, wiesz, — ta ręka wciąż widna — oszaleć!

— Jaka, czyja ręka?

— Bereskiego. Znałeś go, — wiesz, ten — jak panienka. Jak padł w ataku pod drutami, z ręką wyciągniętą, wskazującą — tak został. Ręka sterczy ku niebu, jakby pomocy przyzywał. Widać przez szkła z pozycyi bliższej. Ślaliśmy patrola, — podpełzały, żeby go wyjąć stamtąd — ale, odkrywane, wobec ognia silnego nie mogły dojść. Teraz w dzień niepodobna. Z nastaniem zmroku będziemy próbować. Mam sposób jeden... może się uda. Ach, bracie!

— Siedmiu mi oficerów brak — mówi Galica. — Kompanie stopniały... Ale jak wiara szła! żebyś widział!... I kieby nie ogień z flanki... byłibyśmy już tam! — wskazał ku pozycyom rosyjskim.

Wracając tą samą drogą, naszedłem w skraju lasu rezerwę skrzydła naszego: batalion drugiego pułku I. brygady w okopach. Ludzie wstawali właśnie ze swoich gliniastych grobów. — Tam śpi major Berbeci... — wskazano mi u skrzydła rowu dół, zarzucony słomą.

— — — — —

W kwaterze Komendy pułku — pod dębem. Przed namiotem stół ustawiony: śniadanie. Naprzykrza się nieustannie nierówny klekot strzałów. Kule przenoszą grzbiet i bzykaniem lub świstem przecinają ze rzadka powietrze, niektóre, osłabłe lotem, padają w snopy leżące lub zarywają się w szczecelinę ścierni.

Poniżej namiotu w zagłębieniu — kuchnia polowa sztabu. Jedna z kul przelatujących zraniła ponoś kuchcika — drugiemu znów kula wytrąciła talerz z ręki. Tedy jeden z kucharzy melduje się do raportu: że chciałby iść »na linię, bo w kuchni niebezpieczno«.

Przy stole siedzi z nami porucznik Pieracki. Rozmawia, nawet z humorem. Nagle pułkownik zwraca się doń:

— Skąd pan tu? Przecież pan ranny!

Teraz dopiero widzimy jego bladłość i cały wysięk woli. Pierś ma przestrzeloną. Pierwszy opatrunek założony. Czekaj, mówi, na rachunkowego oficera pułku, by z nim załatwić kasę kompanijną, nim do szpitala pojedzie.

Odwiedza pułkownika sąsiadujący z nami kapitan artylerji, Polak, komendant baterji, przeznaczonej dla popierania akcji naszych walczących oddziałów. Zaproszony na śniadanie, opowiada o ważniejszych swych na wojnie przeżyciach, przechodzi do wrażeń z wczorajszego dnia i mówi, że »tylko pod Gorlicami był widzem podobnie gwałtownego ognia«.

Gdy siedzimy jeszcze przy stole, przychodzi rozkaz:

»O godz. 11-tej przed południem rozpocznie się atak. Podsunąć się i przygotować. Artyleria rozpocznie ogień o 10-tej przed południem.

Komenda Legionów. (Z rozkazu 19-go korpusu.)«

Patrzymy na zegarki: godzina $9\frac{3}{4}$.

— To na mnie już czas — podnosi się kapitan. Żegnając się, dodaje: — Będę czynił, co się da.

Pułkownik też niezwłocznie — po zakomunikowaniu rozkazu komendantom — udaje się na pozycję.

— — — — —

W kwaterze »pod dębem«.

Armaty poczynają grzmieć. Z pobliskiej baterii wypadają raz po raz wybuchy, — dzwonią hukami, jak młoty spżżowe. Śmiercionośne chichoty przelatują po łukach powietrznych ku przeciwnym jastkowskim wzniesieniom. — Z przerwami krótkimi trwa to chwile spore.

Depesza telef. z pozycji (500 m. na półn.-wschód Jastkowa) do Komendy Leg. w Płonszowicach:

»Dnia 1/8. Godzina 10:50 przed poł. — 4 pułk dotarł tuż pod okopy nieprzyjacielskie na wschód od Jastkowa. — Roja.«

Chwile natężonego oczekiwania uchodzą. Grzmot armat po przerwaniu ożywa się ze wzmożoną siłą. Czuje się jednak, że przygotowanie artyl. ataku za słabe. Myśl liczy minuty w trwodze.

Gdzina jedenasta... Mija. Armaty ucichają. Atak nie doszedł do skutku.

— — — — —



Okopywanie się w czasie bitwy pod Jastkowem.

Popołudniu tegoż dnia, pod pozycją batalionu III-go.

Siedzimy, półleżąc, we zbożu pod zachyłą wzgórza przy kraju lasu brzoźowego. Pułkownik kończy o= późniony obiad. — Nadchodzi komendant batalionu, kap. Szerauc, później komendant oddziału karabinów maszynowych, por. Klisiewicz. Mówią o sprawach dnia. A dzień jasny, słońce łagodnie przyświeca — wierzyć się nie chce, że oto bitwa się toczy.

Kule gęsto przelatują. Ucho łowi je, jak różne tony orkiestry, w szaleństwie skomponowanej. Dziwnie bogata skala ich wygłosu, jako i skala uczuć — jeśli tak rzecz można. Są różnego gatunku, wzięwszy przy= rodniczo, i przytem mocno zindywidualizowane. Jedne brzęczą w przelocie, jak muchy, o niepewnym, nie= jasnym zamiarze, drugie bzykają, jak bąki nadąsane, inne jak osy złe, kąśliwe. Są znowu kule=węże, które grzechocą w powietrzu, albo świszczą, mijając ofiarę (te znane w tonie powszechniej) lub które z sykiem zdradliwym mkną nad ziemią. Są kule=ptaszki, które górą z wysokim śpiewem się niosą, jakby błogosła= wiące. Są przypadkowe, jak kamyki z procy Dawida puszczane. Niektóre grają przedziwnie jakiś sen o ukoju śmierci...

W tę — można rzecz — czułą symfonię kul miesza się i mąci ją, rozbija obojętny i suchy trzask ekra= zytówek. Gęsto trzaskają. Od czasu do czasu za= szeleści któraś z kul we zbożu, ciapnie o snopek. Zabawa.

Znagła wypływa koło nas ze zboża adjutant kap. Szerauca, chor. Brzozowski. Ma on wynalazek własny, zdobyć tych dni. Wobec tego, że Moskale salwami witają każdą ukazującą się głowę, nauczył się po zbożu pod wierzchnią fal pływać. Posyłany z rozkazami do kompanii na skrzydła, daje nurka w zboże i przy pomocy wystudyowanych rzutów cudownie, lekko ślizga się w susach szczupaczych — jeno we wstecznym kierunku — po ziemi, i wypływa szczęśliwie na miejscu przeznaczenia. Poleca się przytem Bogu w opiekę, aniołom, a dla pewności i wschodnim bóstwom, których kult wyniósł z Syryi — i ma humor w tem wszystkim: nie utonie.

Melduje się do kap. Szerauca szeregowiec z patroli, z raportem. Pułkownik zaciekał się, wypytuje go. Ten składa informacje ważne, zwięzłe. Widać oryentację bystrą, żywą inteligencję i coś jeszcze ponadto, co bije światłem z oczu niebieskich, a co możnaby nazwać duchem ochoczym służby.

— Dawno pan w Legionach?

— Od początku, panie pułkowniku. Całą kampanię karpacką przeszedłem.

— Czem pan w cywilu?

— Suplent gimnazjalny.

— Szeregowiec?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Mianuję pana sierżantem. Będzie w jutrzejszym rozkazie. Nazwisko pańskie?

— Dziękuję panu pułkownikowi za uznanie, lecz pragnę do końca zostać szeregowcem.

— — — — —

Na temże miejscu, nad wieczorem.

Jakaś postać żołnierska, skacząc po zbożu na je-
dnej nodze, zbliża się ku nam. Poznajemy: ppor.
Grefner, z pierwszego batalionu. Przestrzeloną ma
stopę na ukos. Pierwszy opatrunek założony. Roz-
pruty but pieczołowicie dzierży w ręku. Odpoczął
chwilę przy nas i pokuszył się dalej.

— Ktoś jęczy w zbożu — mówi por. Klisiewicz.

— Zdaje się tylko.

— Napewno słyszałem jęk.

Podniósł się, przyzwał żołnierza przechodzącego
pod łaskiem — poszli. Widzimy: opodał pochyłili się,
coś podnoszą. A za chwilę przenoszą koło nas ran-
nego. Od rana tam leżał, słabym jękiem dając znać
o sobie. Chłód nadwieczorny orzeźwił go, począł
jęczeć głośniej.

Na łączkę, pod las, znoszą sanitaryusze rannych.
Cały ich pokos. Przykro pojrzeć. Jakiś bezsens po-
tworny staje przed oczyma. Wojna — dobrze. Trud
wojny — jeszcze. Ale ranni? Zabici?...

— — — — —

Depesza telef. z zakładu sanitarnego w Motyczu
do Komendy Leg.: »dnia 1/8. godz. 6. wieczór.

Dotychczas przybyło 232 rannych Legionistów; z tych czterech zmarło. — Rogalski.«

— — — — —

W dzień pierwszy bitwy pod Jastkowem zginęli dwaj sanitariusze z pułku 4-go: Rachwał i Warchołowski. Padli bohaterską śmiercią, czyniąc więcej nad swój obowiązek.

— — — — —

Dzień 2-sierpnia przeszedł na zwykłej obustronnej strzelaninie. Już się tak ucho zwyczaiło do tego kłopotu, że stał się normalną rzeczą, jak hurkot we młynie.

Pod wieczór zarządził pułkownik zluzowanie batalionu I-go przez batalion II-gi.

Zmierzch zapadał. — Jeszcze nie zdążył kap. Sikorski oddziałów swych przeprowadzić na stronę wschodnią wzniesienia — gdy z pozycyi, z lewego skrzydła naszego doniosły się zmieszane okrzyki: »Hurra!« — wzmożła się palba karabinów — przeszła w bezwładną młockę — zaczęły grać karabiny maszynowe...

Telefon z Komendy pułku dowołać się nie może odpowiedzi: co się tam dzieje? Atak?

Wypadł pułkownik, jak stał, porwał napotkane pod łaskiem plutony rezerwy i skoczył ku pozycjom Szerauca. — Aliści dość szybko wyjaśniła się rzecz. Oto linią okopów od strony lewej, może aż od Wisły,

telefonem żywym podawana, doszła do naszych stanowisk wieść (przedwczesna, jak się okazało) o upadku twierdzy Dęblina. Wiara krzyknęła: »hurra!« Moskale sądząc, że to okrzyki ataku, poczęli strzelać jak szaleni. Nasi odpowiadali — i stąd się zakotłowało.

Wieczorem późnym rozniosły się po niebie od północnego wschodu łuny pożarów. A w nocy nad świtaniem Moskale się cofnęli.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Wczesnym rankiem dnia 3. sierpnia ruszył pułk w oznaczonym kierunku pościgu. — Podług zarządzenia na odchodnem: pionierzy z oddziałem kompanii technicznej Komendy Leg. mają przeszukać zboża, czy rannych lub trupów niema, i zająć się grobami.

Przechodzimy opuszczone świeżo pozycye rosyjskie. Stąd widać, jak na dłoni, półmisowe schylenie terenu, który pułk nasz zajmował — stąd się dopiero obejmuje »for« tych pozycyi.

Nad brzegiem rowu przy okopach — trup moskiewskiego żołdata. Jak widać: szrapnelem zabity. Twarz żółta, o wydatnych kościach policzkowych, o ryżej szczeci brody, zębach drobno siekanych, zaciętych. Ma wyraz zabitego polnego chomika.

Schodzimy na szosę jastkowską. Zarządzony chwilowy spoczynek dla zejścia się ciągnących polami oddziałów i śniadania. Pułkownik zawezwany, pojechał do dworu w Jastkowie, gdzie stanęła Komenda korpusu.

Mijają nas oddziały piechotne I. brygady. Przejeżdża część sztabu Komendy Legionów. Nadciągają treny.

Pułkownik wraca, zapowiadając odwiedziny Jego

Ekscel. Komendanta korpusu, który osobiście pragnie podziękować pułkowi czwartemu za jastkowską sprawę.

Jakoż niebawem zjawia się zapowiadziany Komendant. Oficerowie i szarże ustawili się kołem obok szosy. Komendant wkracza w koło i przechodzi kołeją od skrzydła. Przedstawiamy się służbowo. Jego Ekscelencya podaje każdemu dłoń, poczem wyraża »wszystkim oficerom, szarżom i żołnierzom 4. pułku najgorętsze podziękowanie i najwyższe uznanie w imieniu Najwyższej Służby za nieustraszone męstwo i poświęcenie w bitwie pod Jastkowem w dniach 31. lipca, 1. i 2. sierpnia, a zwłaszcza za przeprowadzenie szturmów 31. lipca i 1. sierpnia, podczas których nie tylko nasz front został posunięty ku okopom nieprzyjacielskim, ale które nadto spowodowały przesunięcie rezerw nieprzyjacielskich przed front 4. pułku, osłabiając przez to nieprzyjacielskie prawe skrzydło, co w następstwie przełamanie tegoż skrzydła spowodowało.« — Pochwała ta na rozkaz J. Ekscel. Komendanta korpusu ma być wszystkim legionistom podana do wiadomości. (Z rozkazu pułkowego 3/8. Nr. 82).

Po wypoczynku ruszamy. Kierunek marszu: Kra-sienin.

We wsi Jastkowie, przez który droga prowadzi, dymią się jeszcze zgłiszczą domostw.

Na jednym obejściu, na którym sterty popiołu tlejące zostały z zabudowań, chłop podletni zwłóczy na kupę sprzęty ocalałe: przodek wozu, żelaza po-gięte młockarni, beczkę zczerniałą, łóżko...

Mówić nie może z ciężkości, jaka mu pierś ugniata. Dał żołdatowi 10. rubli, coby go nie palił. »Ciebie nie spalę — powiada żołdat — ale jewreja, sąsiada twego, spalić muszę.« A dom żyda przytykał strzechą do jego chałupy...

Z poza opłotków, z opalonych sadów ze rzadka ukaże się stępiała twarz kobiety starej lub rozszerezone załęką oczu dziecka. Młodzieży nie uświadczy: wróg zabrał.

Minąwszy Jastków, dążymy drogą na północ o nachyleniu wschodniem.

Na płaszczyźnie obszernej — widać — suną szlakami mniej więcej równoległymi łyskliwe węże kolumn, falują oprószone, tysiączne, nieprzeliczone szeregi — wszystko na północ. Wszystkimi szlakami płaszczyzny lubelskiej naspiesza pościg dyszący. Za tułowiami ruchliwymi kolumn nadążają — aż po wi-
dnokrąg szarzące — ogony trenów.

Dziwnie mocne wrażenie czyni ten pochód nieprzerwany, w którym tysiące są jak jedna fala.

Przerwała się wstrzymująca tama — i rzeki, oswobodzone, ruszyły... Dokąd? Gdzie dojdą? Co je podola zatrzymać? Przed myślą — na widnokręgu pościgu — wije się, jak marzenie, błękitna wstęga Bugu.

Uwagę naszą zaczepiają oryginalne dźwięki orkiestry z szeregów austriackich, przechodzących mimo. Za zbliżeniem się sprawdzamy, że całą tę orkiestrę tworzą: bęben i harmonijka.

Pod Krasieninem wchodzimy w aleję szeroką, gdzie



Sztab pułku w namiocie podczas deszczu.

też spływają z pól piaszczystych szeregi okurzone. Teraz płyną niejako łączną rzeką, nim się za wsią rozszczepią.

Minąwszy wążów wsi, w nim oddział kawalerii, który wraca z pościgu (znak, że Moskale gdzieś się zatrzymali), przechodzimy zakrętem popod dwór kra-sieniński, gdzie w sadzie widzimy spoczywający sztab Komendy Leg. — i dalej podążamy.

Koło drogi w polu za stajaniem ścierni — kilka domostw. Odpoczynek chwilowy. Chłopcy rzucili się za poszukiwaniem wody.

Wychodzi ku nam z osiedla kobieta i zgłasza skarb: garnczek mleka, który przed Moskalami zdołała utaić. Resztę — powiada — co było, zabrali.

— Cud, że dom ostał, że was nie spalili.

— Boska opieka. Chciały palić, ale nie miały już czasu. Patrole wasze były we wsi. Kazały się nam zbierać, straszyły, że Niemcy idą, że nas będą męczyć... Ja im na to: »Już nie trza bardziej jak wy nas, cholery, męczycie. Nigdzie się z domu swojego nie ruszę.« Groziły, że gwałtem nas zabiorą — ja nic. Com się miała bać. Widziałam, że same są w strachu. Porwały co im się dało — i w nogi.

— Dawno to było?

— Dziś rano. Jeszcze się przechwalały, że wnet wrócą, że was jeno wciągają w pułapkę.

— A wy jak myślicie: wrócą?

— Myślę, że nie. Że Bóg tę pychę ich złamie. Pożegnawszy rezolutną kobietę, ruszamy.

Pochód rozwija się dalej. Idą kolumny wzdłuż drogi, rozchodzą się na rozwidleniach dróg, wsiakają w napotykaną zacięń lasu.

Szeregi nasze brną po piaszczystym gruncie. Pył warstwami pokrywa mundury siwe.

Dzień upalny. Marsz srodze nużący. Lecz świadomość pościgu zdwaja siły — myśl wyrywa się do niewiadomego końca drogi.

W szeregach bataljonu 11-go, po boku swego plutonu maszeruje z tornistrem na plecach znajomy mi jeszcze z »cywilu« podchorąży B., przyrodnik, docent uniwersytetu. Nikły fizycznie, słabej konstrukcyi, zdaje się: padnie pod ciężarem tornistra. A on uśmiecha się, gdy go mijam, i gdy pot spływa mu z czoła, a nogi z trudem przesypują piach — oczy niebieskie z poza światła okularów wyrażają jakąś radość, rzecz można: szczęśliwość trudu. — Przebył całą kampanię karpacką jako żołnierz, ukończył szkołę podchorążych, i kiedy jego koledzy awansowali już dawno, on został w cieniu swej skromności, z tornistrem maszeruje. Nie narzeka na trud, nie skarży się, w radości pełni swą służbę. — Ile razy go mijam, zawdy ten uśmiech jego we mgle kurzu widzę. W trudzie jawni się idea legionowa: radosny sekret wytrwania.

Ława pościgu na chwilę wstrzymana.

Nocleg na polach pod Majdanem Krasienińskim. Dociągły kuchnie — ludzie mogą się pożywić. Jak zwyczajnie, z wieczora i do późna w noc rozchodzą

się po skłonie nieba, szeroko, na łuku północno-wschodnim, łuny pożarów.

Na drugi dzień przychodzi wieść o dalszem cofaniu się nieprzyjaciela. Zarządzony też dalszy pościg.

Idziemy na Stoczek. Po drodze napotykamy między stawami spuszczone dopalający się most na grobli, który pionierzy nasi odbudowują. Obchodzimy i po-
dążamy dalej drogami piaszczystymi wśród spotyka-
nych niedopałek zgłiszcz.

Przechodzimy przez rozłożoną wzdłuż drogi Wólkę Krasienińską i docieramy do Dąbrówki. Tu także zerwany most na rzeczce koło młynów; staw młynny jak i przykopy spuszczone. Około kładki ścisk. Przeprawiają się honwedzi. Z trudem przeciska się nasz bataljon II. Oddział karabinów maszynowych przeprawia się w bród przez wodę, która tu jak staw rozlana. — I dalej w górę przez wieś, gdzie stoją komendy węgierskie, później przez pustać odludną — drogą piaszczystą — w las.

Bataliony I-szy i III-ci zostały. Batalion II-gi ma podejść na pozycję, pod Kozłówkę. Tam nieprzyjaciół próbuje oporu.

Długą ulicą wśród ścian lasu posuwa się nasz batalion naprzód. Dochodzi do skrzyżowania dróg leśnych, gdzie się ma okopać jako rezerwa pierwsza oddziałów węgierskich. Jedna kompania, por. Zulaufa, ma złuzować honwedów na prawem skrzydle pozycji.

Pułkownik udaje się ku tej pozycji i bierze mnie ze sobą. Idziemy drogą leśną o wylocie na wschód.

Na prawo las wysoki — na lewo sośniane zalesie. Gdy to się ucina, biegnie pod kątem prostym do drogi rów pozycyi naszych.

Przed oczyma otwiera się na wschód przestrzeń widna, o niskich i rzadkich krzakach.

W oddali wieś, czubami drzew wzniesionych rysująca się: Kozłówka.

Przed tą wsią rosyjskie pozycye. Stamtąd pukają gęsto karabiny, nadlatują śpiewające kule.

Odpowiadają im honwedzi z rowu przyleśnego.

Schodzimy w narożnik rowu, skąd biegnie skrótem dla oczu linia ognia: postaci oparte o ścianę gliny, klęczące, po lufach karabinów na wschód uparcie wpatrzone.

Za chwilę zjawia się koło nas w skraju leśnym por. Zulauf: melduje pułkownikowi, że kompania jego jest tuż za nim, gotowa do zluzowania.

Pułkownik, ostrzegając, by się nie wychylał, daje mu jakoweś dyspozycye, dotyczące zmiany. Poczem zabieramy się z powrotem przez lasek. Widzimy w gąszczu sośnianym przesuwające się postaci legionistów.

Nie uszliśmy do czterdziestu kroków, gdy nas wstrzymuje wołanie. Kap. Sikorski szuka pułkownika. Przyszedł tą samą drogą za nami. Wychodzi ku nam na przerzedzie lasku...

Znagła przeszywa powietrze charakterystyczny znajomy świst — pęka szrapnel.

— Musieli zauważyć ruch — ktoś mówi.

Świst znowu — i odgłosy pęknięcia: jeden, drugi, trzeci... Ponad nami.

— Kryć się! — komenda do chłopców.

Znajdujemy się wśród kęp sosenek na trawniku, przez który biegnie rów leśny. Kłonimy się do onego rowu.

Świsty i detonacje rozlegają się raz po raz nad nami.

Jęki — wzywania sanitariuszy — ze stron kilku.

Wywłóczy się z krzaków ranny jeden, drugi...

Wreszcie ulewa pocisków minęła.

Ostrzeliwano kwadrat leśny, na którym właśnie kompania por. Zulaufa się znajdowała.

Dziewięciu ludzi nam raniono.

Wracamy ku skrzyżowaniu dróg do lasu. — Lekarz pułkowy, kap. Dr. Bobrowski, z pomocą lekarza batalionowego opatruje rannych. Przynoszą mu też kilku żołnierzy węgierskich do opatrzenia.

Zjawia się ułan z I-szej brygady, Beliniak, żądając wozu. Padł bowiem na drodze leśnej ich komendant ppor. Wysoki, gdy się podsunął z patrolą. Wozy niestety, jakie były, odjechały z rannymi.

Ku wieczorowi przydarzył się epizod ciekawy. Widzimy: sześciu drabów w szynelach, z karabinami, prowadzi nasz telefonista bezbronny. Ujął ich, a raczej zdali się mu, gdy ich napotkał w lesie, zakładając druty. »Dość już — powiadają — mamy wojny, chcemy odpocząć.«

Zarządzono pod wieczór przesunięcie batalionu

do Bratnika, o jakie dwie wiorsty na lewo. Wśród strzałów gęstych przy zapadzie zmierzchu przesunęły się oddziały na wskazane miejsce.

Komenda pułku stanęła kwaterą w stodole na wysuniętym folwarku. Batalion II=gi zajął pozycje przednie przed folwarkiem. Bataliony I=szy i III=ci, które nadeszły w tym czasie, zajęły stanowisko, jako rezerwa, w kraju pobliskim lasu.

Noc ciemna przeszła stosunkowo cicho. Zwykła strzelanina liczyła się jako rzecz normalna, jak n. p. tykanie zegara, które nie płoszy snu. — Rano miał jednak lekarz kilku rannych z batalionu II. do opatrzenia. Wyrosła też mogiła czwartacka za krzyżem białym, brzozowym, u zejścia dróg pod lasem.

Folwark wykwił się za dnia jako prostokąt zabudowań — stodół, stajen i chat — zamykających dziedziniec obszerny, a położony na czole płaszczyzny, która na wschód opadała do wsi, rzeczonej wyżej Kozłówki, obsadzonej przez nieprzyjaciela. Nad czuby drzew wynosiły się wieże kościoła, a na prawym, wyżnionym końcu wydłużonej wsi widniały w otoczu parku szczytowe mury pałacu: dobre punkty obserwacyjne dla wroga.

Można było być pewnym, że zaczną ostrzeliwać folwark, gdy zauważą ruch na nim. — A nasze miłe ordynanse i kuchciki czyniły ruch prawdziwie folwarczny. Mimo zakazu kręciły się po dziedzińcu: była potrzeba lub nie.

Na dodatek, około 9. godz. poczęły zajeżdżać na dziedziniec wozy bojowego trenu...

Otrzymały rozkaz cofnięcia się natychmiast i ustawienia się na łące za osłoną stodół.

Nie zdołały jeszcze wszystkie zawrócić, gdy ozwał się znajomy świst — jeden — drugi — trzeci...

Jakby stado jastrzębi wpadło na dziedziniec. Powstało zamieszanie.

Pułkownik mył się w stodole. Wypadł w koszuli rozpiętej — rzekłbyś: Kmicic — i w momencie sprwadził ład.

Widzieć było wtenczas nasz zazwyczaj opieszawy tren. Można rzec: skrzydeł dostał — tak rwał z powrotem do lasu.

Szrapneli kilkanaście puszczone na folwark. Szczęściem szkód w ludziach nie było. Jakichś parę kontuzji drobnych. Zdarzyła się przytem zabawna rzecz. Jakimś telefoniście kulka szrapnela przebiła na plecach zwieszoną manierkę, w której miał dopiero co z kotła nalaną gorącą kawę. Ciecz gorąca poczęła spływać po nim... I on, czując po uderzeniu płynącą po sobie »krew«, począł wołać, blizki omdlenia: »Sanitariusz! Sanitariusz!« Aż go odratowano, pokazując mu ranę głęboką — w manierce.

Otrzymuję rozkaz pojechania w sprawie służbowej do Lublina. Zbieram się, jadę.

Jeszcze nie wyjechałem z lasu, gdy uderza mnie niezwykle ożywienie wśród mijanych koło drogi rezerw. Ludzie wybiegają na drogę z okopów, krzyczą

coś, podają dalej radośnie. Madziarzy: trudno ich zrozumieć. Niekiedy zrywa się łączny okrzyk: »Eljen!« który echo po lesie roznosi. Z dalszych partyi lasu dolatują też huczne okrzyki. Jakąś dobrą nowinę dostali — myślę, naspieszając.

Gdy wjeżdżam do Wólki Krasienińskiej, gdzie stała Komenda Legionów, zaraz na wstępie wita mię ruch niezwykajny. Orkiestra gra — ludzie się kupią przed kwaterą sztabu — na chatach chorągiewki biało=czerwone. Nastroj święta.

— Cóż to za uroczystość? — pytam napotkanego znajomego oficera sztabu.

— Jakto? Nie wiesz?... Warszawa wzięta!





Pod Czołną. Pułk. Roja wydaje dyspozycje trzem komendantom batalionów (kap. Galicy, Sikorskiemu i Szeraucowi) Pobok adjutant kapitan Zarzycki i komendanci pomocniczych oddziałów pułkowych.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Wracając z Lublina na trzeci dzień, dowiaduję się w drodze, że Moskale cofają się ku rzece Wieprz, że pułk 4. wczoraj wyruszył z Bratnika i znajduje się w Kieszkówce.

Po przenocowaniu w Bratniku na tymże folwarku, gdzie zastaję nasz tren prowiantowy, ruszam przez Kozłówkę, częściowo spaloną (większą część wsi z kościołem i pałacem nasz pułk następujący uratował), Kamionkę i jeszcze jakąś miejscowość, do Kieszkówki. Pułku tu już swego nie zastaję: gonię więc we wskazanym mi kierunku dalej.

Z południa wjeżdżam do palącego się Michowa, który pociski rosyjskie zapaliły. Wśród gorąca — dym duszący przepalonych strzech — natłok przechodzących wojsk — istne przedsienie piekła.

Dowiaduję się, że stoi tu Komenda Legionów. Odszukuję więc w części ocalałej wsi kwaterę sztabu, by się o pułk swój zapytać. Mówią mi, że znajduje się na pozycyi pod Węgielcami.

Nad wieczorem dobijam do naszego trenu bojowego, który stoi na łące moczarzystej koło lasu. Tam też pod namiotem naprędce wzniesionym założył Dr. Bobrowski stacyę opatrunkową.

Nazajutrz zrana, gdy się w pobliżu baterie ciężkie ustawiły, zarządzono przesunięcie trenów na drugą stronę łąk ku południowi, poza osłonę leśną.

Udaje się ku pozycjom. — Bataliony I. i II. okopane na zboczu wzniesienia, jako rezerwy. — Z drugiej strony płaskogórza na przechyli grzbietu, w pobliżu chałup Węgielce, przypadł batalion II. Tuż kwatery Komendy pułku, pod ochroną stodoły. Sąsiedni dach chałupy służy jako obserwatorium.

Stąd przed oczyma roztacza się w poprzek wglębiona dolina Wieprza, poza którą — na wyniosłych brzegach — nieprzyjacielskie mocne pozycje. — Nie darmo odgrążali się przez usta jeńców, że tu nas zatrzymają.

Dowiaduję się, że rankiem rzucił się pułkownik nasz z pionierami ku rzece budować most spalony naprzeciw miejscowości Łysobyki, lecz, ostrzeliwany gwałtownie szrapnelami, zmuszony był zatrzymać robotę.

Kap. Sikorski otrzymuje na noc dyspozycję: podsunąć się z plutonem lub kompanią w kierunku wschodnim do Wieprza, szukać przejścia i sforsować brzeg drugi.

Zapadł wieczór. Zjawia się z Komendy Legionów por. Kleeberg, przynosi wieść o sforsowaniu przeprawy i rozkaz dla pułku: wymarsz o 4. rano, gdy most naprzeciw palących się Łysobyków będzie gotowy. Zapowiada dalsze dyspozycje pościgu.

Już z wykwitujących łąk widać było zapoczęty

odwrót nieprzyjaciela z nad Wieprza. W miarę zapadu godzin wzmagaly się łuny. — Na ciemnym obrysie widnokręgu rozpalaly się ogniska, żarem płomieni wychodząc wysoko na przymierzch nieba. Na=liczyliśmy 15 pożarów na małym odcinku wschodu.

W grozie i zacisku rąk patrzyliśmy na to krzyżące o pomstę preludium szatańskie odwrotu. Jakież cel? Jaki motyw? — Dzika złość niemocy.

— — — — —

O naznaczonej godzinie wczesnej pułk z pod Węgielec wyruszył. O godz. 4. minut 45. staje przy moście, nocą odbudowanym, nad Wieprzem.

Nie oczekując na treny, które zatrzymać się muszą, aż przejdą nadpływające oddziały piechoty, porywa pułkownik Roja trzy swoje bataliony i szybkim marszem przez spalone Łysobyki, Kręgę, dochodzi do Talczyzna, skąd nieprzyjaciół, zmuszony opuścić wspa=niałe, przygotowane poprzód pozycje obronne, cofa się na północny wschód. Tu pułkownik rozdziela bataliony: III-ci kieruje na lewo, na Rudę, II-gi przeznacza w rezerwę, a z I-szym przechodzi przez groble talczyńskich stawów i na Stoczek, Poizdów energicznym marszem zdąża za cofającym się nieprzyjacielem.

Na wyżynie lesistej, przed Wolą Ossowińską przychodzi do natknięcia się na opór wroga. Naprzód kap. Szerauc z batalionem swym spotyka się z kozackimi oddziałami w lesie, następnie nadeszły z prawa batalion I-szy szybkim rzutem oczyszcza płaszczyznę

wyżyny i, wypierając z dwóch pozycji — jedna za drugą — Moskali, przyczem pułkownik sam idzie w tyralierskiej linii, zstępuje ku położonej w kotlinie wsi. Po krótkim ogniu, energicznym ruchem, nim nieprzyjacieli miał czas się opatrzyć, zajmuje batalion Galicy Wolę Ossowińską. Wszystko — ze stratą siedmiu lekko rannych.

Zmierzch zapadł. Chodziło teraz o to, by ewentualny kontratak wytrzymać, nim siły większe nie nadciągną, a także poszukać łączności z prawem i lewem. W tej myśli poczyniono ubezpieczenia odpowiednie, rachując też słusznie na to, że nieprzyjacieli po energii ataków mniemać może o większych siłach, niż są, i kontrataku nie będzie próbował.

Treny nadciągły. Kuchnie mogły pod osłoną ciemności nocy dowieść kompaniom pożywienie, którego dzień cały chłopcy nie widzieli.

Komenda pułku stanęła postojem nocnym na skrzydle lewem, w lesie w Filipinie.

Noc przeszła w pilnej czujności, spokojnie.

Rano około godz. 9-tej udałem się z rozkazem do komendy batalionu I-go w Woli Ossowińskiej. Zastałem kap. Galicę w iście królewskiej kwaterze, w pałacu. Właśnie powrócił z pozycji poza wsią, które oddawał nadeszłej węgierskiej Komendzie. Miał nadzieję, że odpocznie z dzień w tym pięknym dworze — rozkaz powoływał dalej.

Dwór w Woli Ossowińskiej przedstawiał się istotnie jako pańska rezydencya. Oprócz pałacu bogatego

przed rozkosznym parkiem stało jeszcze wśród zakoli klombów i trawników parę nowoczesnych oficyn — dalej osobno wzniesiona kaplica.

Właściciele nie było. Kilkoro osób ze służby o stałej schowało się na czas bitwy w piwnicę ogrodnika; teraz, ośmieleni, powychodzili.

W salach pałacu pustka. Co »państwo« nie zdołali wywieść, to Moskale rozgrabili. Wszędzie znać ślady barbarzyń. W jednej z sal lustra strzaskane — na ścianach czarne rozpryski atramentu od rzuconych siłą kałamarzy. — Gościł tu w dniu poprzednim rosyjski sztab dywizyjny. Charakterystyczne: właścicielka wyszła powtórnie za mąż za oficera rosyjskiego; ci jednak nie uszanowali dobytku kolegi.

Wychodząc z pałacu, zauważyłem przed gankiem wśród śmietniska papierów jakąś książkę. Podjąłem — pisana, widzę... Data ślubu... Pamiętnik pani domu.

Gdym wracał drogą wśród pól do Komendy pułku, zobaczyłem: Moskale z pod oddalonego na górze lasu ostrzeliwują granatami węgierski tren, zjeżdżający do wsi. Pociski padały za umykającymi pospiesznie wożami, wyrzucając w powietrze tumany kurzu. Poczem zaczęły w odstępach padać na prawe ściernisko, zmierzając ku grupie drzew, na drogę, którą szedłem. Zauważyłem teraz oddział trenu, który się tam przyczaił. Zapragnąłem znaleźć się jaknajrychlej poza obwodem pocisków. Skonstatowałem przytem, że gdy szrapneli nie doceniam, to granaty wyraźnie mię

trwożą. Może temu, że tak gruntownie wałą, wyrzucając wysokie słupy ziemi.

Z południa, tegoż dnia jeszcze, wyruszył pułk w kierunku Ciężkowoli. Marsz z Woli Ossowińskiej przez podnoszące się zakręty drogi wśród pastwisk, ściernisk i lasów. — Gdy, jadąc poprzód, stanęliśmy (pułkownik, adjutant jego kap. Zarzycki i kap. Bobrowski) na płaskowyżu, oczy nasze przywitał, niby okrzyk barwny, wyjaw kilku w niedalekich odstępach pożarów. Paliły się wsi pobliskie: pierwsza — wydało się — tuż kilka wiorst przed nami. Snopy rdzawe płomieni rozpętały się w ciszy — kłęby dymu tajały w niebo pogodne. Na miedzy, łączącej pola, na płaszczyźnie, widać było sznur kawalerii — pluton, jadący w stronę pożaru. Dalej — osiedli kilka pobok brzoźowego lasku. Ciężkowola.

Tam zmierzamy na przełaj. Podjeżdżając, widzimy grupę wojskowych przed jednym z osiedli. Rozeznajemy szefa sztabu i oficerów Komendy Legionów. Po oznajmieniu o nadejściu pułku, pułkownik każe poprowadzić konie ku pobliskiemu na ścierni domostwu, a sam z nami udaje się do pociągającego świeżością brzoźowego lasku. Tu też obrane miejsce na kwaterę Komendy pułkowej. Przy kraju lasku, pod drzewem, w okoleniu brzozek i modrzewi.

Wkrótce zjawia się z onego pobliskiego domostwa gospodarz, ze stołem, ławą i stołkami. A za nim córka przynosi garnek mleka kwaśnego, chleb razowy i masło świeżutkie. Sielanka.

Nadciągają bataliony nasze, rozkładają się na miejscach wyznaczonych. Jakby to czuł nieprzyjaciół, poczynają ostrzeliwać granatami teren. Pociski jednak, nie donosząc, padają na pole poza laskiem.

Zachodzi zmierzch. Namioty wyrosły w lasku — obóz się czyni. Mamy nadzieję zatrzymać się tu postojem dłużej.

Požary bliższe pogasły. Natomiast rozświeciły mrok dalsze, bijące w niebo łuną. Znak, że jutro pójdziemy.

Jakoż na godz. 7 rano zarządzono marsz dalszy. Idziemy wciąż w tymże północno-wschodnim kierunku, przez spalony Sobolów, przez skupioną koło drogi wieś Domaszewice, która jakimś cudem uszła pożaru.

W Sętkach postój. A potem nagłe zesunięcie pułku na południe, do Gąsior, dla podtrzymania akcji 31. i 32. regimentów austr. obrony krajowej. Tamże bataliony nasze zajmują pozycje w lesie jako rezerwa: Komenda pułku w pobliżu. — Z zapadem nocy, bardzo ciemnej, nastąpiło natarczywsze niż za dnia działanie, wzmógł się łoskot karabinów — rakiety: oczy świecące, zielone, wynosiły się raz po raz nad czernią otchłanną lasu.

Owinieci w płaszcze, leżymy na rośnej łączce. Kule przelatują niepokojąc. Każę pułkownik pionierom kilku, którzy znajdują się w pobliżu, uczynić z darni pogródkę osłonną. Tedy możemy spać.

Rano — rozkaz pochodu dalszego. Linia bowiem

oporu złamana: wróg się znów cofa. Idziemy w stronę wschodu: zaczem w kierunku Brześcia Litewskiego. Tam garną ludność zabraną. Tam rozbijają się fale poświęcu o pierś żelazną twierdzy — jak pocieszają się moskiewscy jeńcy.

Przechodząc przez dział za lasem, nadchodzimy przy opuszczonych okopach kapelana i kilku infanterystów z 32. regimentu. Pogrzeb żołnierza. Rzecz zwyczajna.

Schodzimy do wsi Zakrzewia. Przed obejściami spotykamy chłopskie wozy, naładowane dobytkiem wszelakim. Zdołały ująć zagarnięcia i wrócić. Ludzie też, którzy do poblizkiego lasu się schronili, teraz, gdy burza przeszła, wracają. Widzimy: dwoje staruszków, stuletnich może, pieczołowicie się prowadzi...

— Nam, panowie kochani, — seplenią ze łzami — na noc... w las...

Wyrostek jakiś wynosi nam wodę. Oczy się mu radują.

— Z naszej wsi — mówi z dumą — poszło do was pięćdziesięciu, i brat mój z nimi. Mnie nie chcieli wziąć, bom zamłody. Poszli nie dawno, tydzień temu. Mieli się przekraść na Łuków.

Po kilku godzinach marszu, gdy dochodzimy lasu koło Kostanina, uderza oczy nasze mogiła w polu z krzyżem, darnią zrudziałą omszona: — widać, dawna. Ktoś, znający tę okolicę, objaśnia, że to mogiła chłopów-męczenników, że tu już za Kąkolownicą poczynają się zwarte wsi unickie, Podłasie.



W lesie pod Czołną. Telefon — ucho pułku.

W lesie postój godzinny. — Dojeżdża nas tu roz= weselający »towarzysz broni« Kosiński, jeszcze z pod Czołny wysłany do Krakowa z pułku po zakupna. Goni nas z przeszkodami od Jastkowa.

Na odwieczarz wkraczamy do Kąkolownicy. Wieś duża, po obu stronach drogi wzdłuż ulicy rządami zabudowań rozłożona, o domkach schludnych, białych, ogródkach przed oknami, czyni wrażenie za= ścianka szlacheckiego. I ludność spotykana przedstawia się wdzięcznie. Wychodzą kobiety gościnnie przed progi, nierzadko z wodą, owocami, mlekiem. Wynoszą garnuszki białe na tacach, częstują.

Przychodzi rozkaz zatrzymania się we wsi — ta= jemne życzenie wszystkich.

Sztab pułku staje na plebanii kwaterą. Przyjmuje nas ksiądz podletni.

— Nie sądziłem — mówi wzruszony — że będę u siebie polskich oficerów gościł.

W nocy tu jeszcze gościł sztab rosyjski.

Schodzimy do sadu plebańskiego z ganku. Jakież po przykrościach drogi kojący widok oczom! Wzdłuż ścieżek wysypanych: rzędkie lewkonii, astrów, groszku różno=kwietnego, rezedy... Dalej podściel zapraszająca trawników i zacięń szeregu rzędów, w różne pochy= lonych strony, owocowych drzew.

— Owoców niema — objaśnia Ksiądz. — Moskale otrzęśli.

Wyrażamy zdziwienie, że szkód we wsi nie po=

czynili. Wieś wyglądała — jedyna zresztą spotkana — jak normalnego czasu.

— Tak, szkód nie znać — rzecze książdz. — Postawa ludu ochroniła. Przy odwrócie zaś nie mieli czasu. Zabrali tylko bydło gospodarzom za kwitami na jakieś 20 tysięcy rubli. Po pieniądze kazali jechać za sobą do Międzyrzecza. Ale nikt się nie kwapił. Każdy rozumiał, że z Międzyrzecza, gdy się linia posunie, trudno będzie już wrócić. Woleli stracić pieniądze, a w domu pozostać.

Na wieczerzy, którą podano w sadzie przy świetle świec na ustawionych stołach, gościli też z gronem oficerów Eksceł. Durski i szef sztabu kap. Zagórski.

Nazajutrz (tj. 14. sierpnia) o godz. 11-tej wymarsz.



ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Wszedł pułk nasz teraz na ziemię podlaską... Poznałby ci ją każdy — tę męczennicę niewspółczesną — bez pośrednictwa map i przewodników: po krzyżach kołodrożnych.

Ileż tych krzyżów... Wznoszą się koło dróg, po polach, chyłą się, idą w różne strony. A już cmentarz, gdy się nachodzi — cały zalesiony nimi. Wszystkie zasię jednakowo wysokie, jak drzewo, które dźwigało Chrystusa. Napisy na nich z różnych lat, najczęściej białoruskie.

Najbliższy postój wypadł nam w Sycynie. Kwatery naszyły się przestronne, jednak pobytom Moskali skażone. Wszędzie, w stodołach, w obejściach raziły oczy ślady niedawnego postoju kozaków.

Ponad wsią wznosił się pagórek z krzyżem pochylonym. Tam też pułkownik kazał postawić namioty.

Bataliony nadeszły jeszcze się nie zdążyły rozkwaterować, gdy przyszedł rozkaz: iść dalej. Jako cel na dziś, oznaczono Worsy.

Pod wieczór dobiliśmy do onych Worsów. Tu, jak i w poprzednich wsiach, chaty poroztwierane, zgrabione. A nie palono tych wsi jeno, jakieśmy

stwierdzili, w których znajdował się procent pewien prawosławnych chłopów.

Koło wsi, na zagonach rozłożył się pułk batalionami. Poczęto wznosić namioty. Namiot Komendy pułku, zapoczęty na łączce poniżej, został, z przyczyny wstających zdradliwych oparów również na zagonach w sąsiedztwie batalionu II. ustawiony.

Tam to oglądaliśmy dziwny zachód. Przez mgłę fioletową oparów, unoszących się nad łąkami i przeszczerzaniem pól, w której tajały kępy drzew, widać było słońce, za wszystką krew z ziemi zsiniałej w swoje serce wziętą, jako ofiarę na kręgu świata tonącą.

Późnym zaś zmrokiem — pożary... Wybuchły w kilku naraz miejscach w stronie północnej, szerząc się i łącząc w jeden stóg ognia. Odblask ordzawił kir nocy.

Rozpalili się w obozie ogniska. Czarne cienie postaci koło nich. Gwar — śpiewy. Z trenów pobliskich dochodzą hałasy, kłótnie. Ktoś gra skoczne melodye na harmonijce... Wszystko to — na tle w głębi płonących pożarów i dochodzącego stamtąd tłumnego łoskotu karabinów — zlewa się w obraz przeraźny o sensie swoistym, jakby w szaleństwie wydumany. Wojna.

— — — — —

Tam doszła nas depesza, przy ognisku odczytana: o zgonie Jerzego Żuławskiego. Zmarł na tyfus w szpitalu. Przypominamy, jak jechał z Ostrowca,

w gorączce, i nie chciał mimo rad lekarza wracać. Dopiero w Księżomieszu dał się przykłonić do powrotu. Żeby choć na wojnie... Choć to pono zmarłemu obojętne.

— — — — —

Rano odbyła się msza polowa. Poczem o godz. 9. wymarsz z Worsów.

Przekraczamy linię kolei: Brześć Litewski=Warszawa=Dęblin. Zatem nie pójdziemy pod Brześć. Już poprzód zauważyliśmy odchylenie kierunku marszu ku północy. Idziemy na Litwę!

Nad wieczorem przybywamy do Żegocina, wsi dużej i już przez oddziały wojsk obsadzonej.

Pułk nasz zajmuje kilka chałup i stodół. Komenda pułku umieszcza się w stodole prawosławnego bogacza, który ze swoimi uciekł. Nakłaniał też sąsiadów-unitów do ucieczki, ale ci się nie dali uwieść na mowom ani groźbom — pozostali.

Nazajutrz o 6. z rana wymarsz z Żegocina.

Spoczynek godzinny koło południa we wsi Dołhej. Sztab pułkowy staje koło cerkwi. Chcemy zobaczyć wewnątrz: dowiadujemy się, że pop uciekł i cerkiew zamknięta. Widzimy: w murze nazewnątrz, w ścianie ołtarzowej, tablica wprawiona w mur głęboko z krzyżem, napis polski, data 1838.

Schodzą się ku nam pod cerkiew ludzie starzy.

— Toście wy polskie wojsko? — pytają się. Łzy mają w oczach. Wspominają męczeństwa swoje,

skarżą się, że jest ich we wsi większość unitów, a pop prawosławny.

— Ale mamy nadzieję w Bogu i w was, skoroście tu przyszli: Pop już nie wróci.

O godz. 5. po południu dochodzimy do Sitnika. Tu naznaczony postój noclegowy. Komenda pułku kwateruje na łączce przyleśnej pobok osiedla samotnego. Tu jesteśmy świadkami, jak gospodyni z tego domu znosi z lasu różne przedmioty: dziezę z ciastem, słoninę, poduszki, kozuch, zegar ścienny i inne, które przed kozakami w lesie pokryła.

Z Sitnika, wyruszywszy o 8. rano, odrazu zadajemy się w las, który ciągnie się na wiorsty przed nami. Są to tak zwane Dobra Konstantynowskie, własność Potockich czy Platerów. Przypominają też kulturą lasy Krzeszowickie.

Gdy wyjeżdżamy z lasu, wita nas światłem płaszczyzna otwarta: stumorgowy łąn pański. Z prawa dochodzi ściany rozległego parku. Na mapie: Dwór Worgule. — Na lewo zaś, w oddali — jakby jakoweś miasto wschodnie z bajki: Kopuły liczne przeświecają z poza osłony drzew — : Leśna.

Jedziemy na przełaj w stronę parku. Bataliony nadążają wolniej — jeszcze są w lesie.

Brama wjazdu otwarta... Pułkownik skierował konia w aleję parkową — my, czterech czy pięciu nas, za nim.

Wkrótce wyłonił się z poza drzew pałacyk gustownie zmurowany, biały. Pańska siedziba.

Przed filarami ganku wstrzymaliśmy konie: oczy nasze pociągnęła przestrzeń rozwidniała w parku.

Ścieląca się od żwiru zajezdnego placu zielonrunna murawa, której środek zajął olbrzymi klomb kwiatów, przestrzeniła się w łąkę, słońcu otwartą, rozległą, tu ówdzie kępami drzew rzadkich upięknioną, a otoczoną daleko wokół cienistą ścianą parku. Gdzieś na końcu lustrzała woda stawu. — Iście polana wytchnienia dla oczu — po utrwalonych obrazach zgłiszcz.

Wszystkim to samo szeptało wzruszenie:

— Jakże tu pięknie! Jak cicho i ukojnie! Zaiste, spokojne szczęście bytować tu musi.

Zdawało się to samo potwierdzać i niebo: przeczysty błękit nad koroną parku — z białym łabędziem obłoku, wolno jak zamyślenie beztroskie płynącym.

Pojrzymy ku progom domu, ku tej szczęśliwej siedzibie — i oczy nasze, zranione, zadrżały.

Drzwi rozwarłe na oścież, — szyby okien stłuczone — wazony z ganku i okien postręcane na ziem. Na murawie zdeptanej, pod murem, wałają się w beładnej kupie: skorupy drogich waz, szczątki gipsów, kawałki ram złoconych, drzazgi bezcennych mebli, książki stargane, listy, tuż obok leżą: koszulka druciana, lalka znieważona i pantofelek.

Przez drzwi rozwarłe, przez wybite okna patrzy ku nam grobowym spokojem łatwo zgadniona pustka wnętrza.

Pod filarami na ganku w zacieniu leży białowło-

sisty pies, z pyskiem opartym na łapie krwawiącej. Nawet nie pojrzy ku nam.

Gdy tak stoimy, wysuwa się z za rogu pałacu stary, zszarzały człek. Skłonił się przed pułkownikiem.

— Wy kto jesteście? — pyta go pułkownik.

— Ja tutejszy, sługa.

— Państwo gdzie?

— Wyjechali.

— A kto to tak sprawił? — wskazuje pułkownik na rozmicie szczątków.

— Moskale, panie. Któżby.

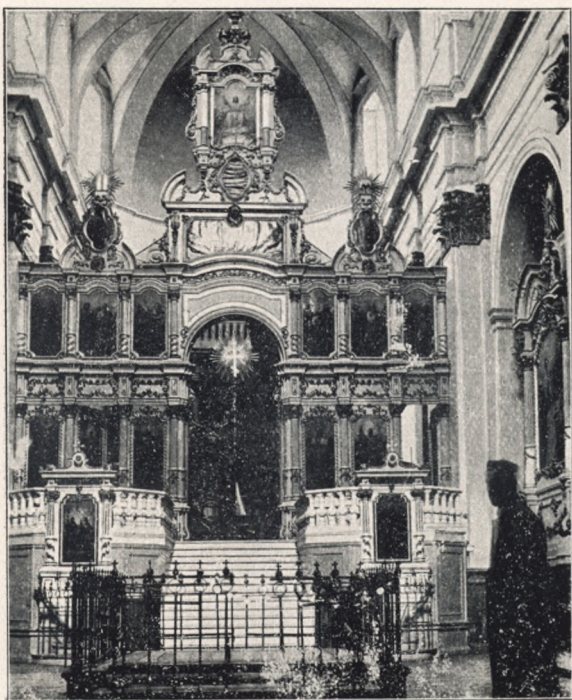
— Kiedy?

— Pozawczoraj. Był sztab cały. Gościli, pili w pałacu. Zabrali sto par koni, — dwa tysiące owiec. Kiedy mieli ujeżdżać, tak do pana: żeby jechał z nimi. Pan nasz, chory oddawna, sparaliżowany — wypraszał się, i pani prosiła... »Koni — powiada — niema«... — »Tak my pożyczymy«. Nic nie pomogło — wywieźli. Kozaki zostały: Dopieroż hulać! Stodoły, śpichlerz spaliły, — nawet zboże w snopach na polu... Grzech myśleć. Wszystko zniszczyły, rozgrabiły, te mury ino zostały. Ja powróż wziął i powiadam: »Powieście już i mnie na końcu, niech na to nie patrzę«...

Zapłakało się staremu. Pułkownik rzecze:

— Zbierzcie te szczątki do wnętrza, zamknijcie drzwi. A my naprzód!

Wyjechaliśmy znów w aleję ciemną — przez mostek jakiś rzucony — koło kaplicy.



Wnętrze monasteru w Leśnej.

Dwór szedł za nami, jak trumna otwarta.

Park przechodził w las, droga się traciła.

Właśnie nadchodziły kolumny batalionów, gdyśmy wyjechali na jaśnię pól.

Pułkownik dał rozkaz wypoczynku: minut dwadzieścia.

Przed oczyma, na lewo, o jaką wiorstę, wyjawily się z otoczy drzew białe i czerwone mury z piętrzącymi się wielokopułami różnej wielkości. Przybliżony, widziany już poprzód z dala, monastyr w Leśnej.

Pułkownik zwraca się do nas:

— Kto chce zobaczyć monastyr, może podjechać, tylko nie bawić, bo wkrótce ruszamy.

Kopnęliśmy się z miejsca, wypuściwszy konie. Za parę minut byliśmy u celu.

Miasto mnisze. Wśród gmachów nowych i starych, dziwne sprawia wrażenie cerkiewka stara, kolorowa nad wyrwą ruczaju. Jak wystawowa zabawka bizantyjska o krasie wschodu. W głównej cerkwi — dawnym bazylikańskim kościele — wrota carskie otwarte. Ikony dziwią się, widząc nas wchodzących. W zakrystyi — stos zepranych na kupę obrazów. I cisza.

Koło murów jak i na rynku w pobliżu kupią się gromadki chłopskie. Przypatrują się ciekawie mundurom. Chcieliby porozmawiać, o coś zapytać, co tai się we wzroku.

Wracamy.

Bataliony już ruszyły.

Przejeżdżając drogą przez pagórek, widzimy: żoł-

nierz nasz półrozebrany siedzi pod figurą na pagórku i przeziera pod słońce koszulę. Obrazek wdzięczny, w którym dużo treści.

Z południa, gdy mijaliśmy las jakiś pomniejszy, a deszczem grozić zaczęło, pchnął nas pułkownik naprzód: kapitana Bobrowskiego i mnie, z jeźdźcem ordynansem — do Konstantynowa, celem wyszukania kwater.

Konstantynów, miasteczko, zastaliśmy spalony. Jedynie kościół wśród lip wysokich, dwór na uboczu stojący, plebania, kilka domów w uliczce koło kościoła i trochę bud żydowskich po kraju ocalały. Środek miasteczka w okół rynku — jedna ohydna ruina. Na zgłiszczach siedzą rodziny żydowskie pod przygniotałem kłęski i rozpaczy. — O kwaterach w mieście niema mowy. Wracamy więc przez most, zapchany wojskiem, na przedmieście i — gdy tu chałupy zajęte już postojem kawaleryi, — wybieramy nad stawami trawniki pagórkowate, gdzie mogą się trzy bataliony wygodnie rozłożyć.

Niebawem nadciągnął pułk. Namioty jeszcze przed zmierzchem wyrosły.

Nazajutrz rano 18. sierpnia odbyła się na placu pobok msza polowa. Prócz pułku czwartego wzięły w niej udział sąsiadujące z nami oddziały artyleryi i kawaleryi austriackiej ze swemi komendami, również Komenda Legionów z Excel. Durskim.

Dzień zeszedł na wypoczynku. Przypuszczaliśmy nawet, że tu stać dłużej nam wypadnie, gdyż linia Bugu niedaleko. Tam zapewne nieprzyjaciół umocnił

się i zechce dłuższy opór stawić. Niespodzianką przeto padł na nas późną nocą rozkaz: Wymarsz o 6 rano. Za Bug!

Szybkim marszem zbliżał się pułk ku Bugowi. Nadarzony po drodze przewodnik, stary chłop, siwy, unita, dreptał pobok konia pułkownika i poruszony tą chwilą niespodziewaną, spowiadał się w odstępach:

— Siedziałem w tiurmie. Byłem bity, katowany. Ciało miałem ścięte, że od kości odchodziło... za wiarę. Wytrwałem wszystko. I oto dożyłem chwili, że dzieci moje, wnuki...

O godz. 3. min. 15 po południu tegoż dnia, 19. sierpnia, stajemy nad nurtami Bugu pod Niemirowem.

Dzień pochmurny, deszczyk mży — lecz radość w sercach. Wstępujemy z Korony na Litwę! Wy=daje się to snem.

Szeregi wchodzą na pontony mostu. Wkraczają na brzeg wysoki, na ziemię Grodzieńską.

A potem rozsypem dróg przez jakieś mijane wsi, ko=ło dziwacznych cerkwi, pełnych krzyżów cmentarzy...

Odsadził się pułk marszem daleko od brzegów rzeki.

Pod noc wszedł w bory pod Zalesie.

Tam biwak uczyniony — namioty porozpinane — deszcz pada. Ogniska trzaskają wysokie — w kadziel=nym fiolecie las.

Wkrótce po wieczery ustaje gwar. Przygasają ogniska. Znużenie obala żołnierzy na mokre mchy.

Uciszył się już obóz, gdy Komenda pułku odbiera

telefoniczną depeszę o upadku Modlina, z cyframi jeńców i łupów.

Każde pułkownik podać telefonem radosną ową nowinę komendom batalionów.

Zanieśli go wyrywa się z pośród najbliższej partyi namiotów zbiorowy okrzyk: »Hurra!« Za nim drugi, trzeci: »Hurra! Hurra!« Buchnęły w górę ogniska...

Orkiestra uderzyła w hymn: »Jeszcze Polska«... Później »Marsz Czwartaków«. A w skupiskach koło ognisk potworzyły się już chóry. Znużenie przeszło.

Rozśpiewał się, rozegrał bór litewski pieśnią legionową.





W sadzie w Kąkolownicy. — (Szef sztabu kap. Zagórski
w gościnie w komendzie pułku).

60

50

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 326666



000-326666-00-0